

Karpacki Przegląd

Społeczno-
Kulturalny

Карпатський соціокультурний огляд



Karpaty - góry, których niezwykłą i trudną historię warto znać



Ten numer Karpackiego Przeglądu Społeczno-Kulturalnego wypełniają niezwykle historie z pogranicza etnografii, sztuki i samej historii. Nawet jednodniowa wyprawa do wsi Kutry, kiedyś na obrzeżach I Rzeczypospolitej, obecnie na granicy Ukrainy i Rumunii, to sięganie do dawnych wieków (zwiedzanie zapomnianych cmentarzy: żydowskiego oraz ormiańskiego), a zarazem „dotknięcie” tej najnowszej z wieku XX. To miejsce, w którym po raz ostatni zebrał się rząd II RP w 1939 r. przed udaniem się na wojenną emigrację. O tych niezwykłych historiach związanych z górami ciekawie opowiada Wiesław Banach, były dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku. A o muzyce nie tyle opowiada, co gra w Wierchowyńie w Muzeum Huculskich Instrumentów i Huculszczyzny Romana Kumłyka córka założyciela Natalia. Jej perfekcja wykonania utworów na różnych instrumentach zaskakuje tym bardziej, że gry na nich uczyła się... samodzielnie.

Karpaty to także zabytki o często skomplikowanej historii, pełnej zniszczeń, a zarazem nieustannej odbudowy. Tak było w przypadku niewielkiego klasztoru karmelitów we wsi Sąsiadowice na Ukrainie, a także jest w modrzewiowym kościele w bieszczadzkiej Średniej Wsi. Mimo tylu wieków wojen, pożarów i innych zagrożeń przetrwał, jak i wypełniające go dzieła sztuki krośnieńskiego baroku. Zdecydowanie mniej szczęścia miały tak liczne kiedyś bieszczadzkie zamki i dwory. Na tym obszarze dominowała drobna własność ziemiska i dwory znajdowały się w niemal każdej miejscowości. A do naszych czasów przetrwało ich zaledwie... siedem. Pozostały po nich jedynie fundamenty, ale ślady ich dawnej świetności pozostały na archiwalnych zdjęciach. Podobny los spotkał bieszczadzką wieś Sianki, jeden z najszybciej rozwijających się kurortów w czasach II Rzeczypospolitej. Po wytyczeniu nowej granicy pomiędzy PRL a ZSRR utknęła ona na jej środku, w efekcie czego rozebrano zabudowę, a ludność wysiedlono.

Nie mogło zabraknąć także historii z cyklu o karpackich beskidnikach. Tym razem dotyczy ona najslawniejszego lemkowskiego zbója Andrija Sawki. ■

Zapraszam do lektury.
Adam Cyło

Цей номер Карпатського соціокультурного огляду рясніє незвичайними історіями на межі етнографії, мистецтва та самої історії. Навіть одноденна поїздка в село Кути, що колись було розташоване на окраїнах Речі Посполитої, а тепер — на україно-румунському прикордонні, — це подорож у стародавні часи (відвідування забутих цвинтарів: єврейського та вірменського), а водночас — «дотик» до нещодавніх подій ХХ століття. Це місце, де 1939 року востаннє зібрався уряд Другої Речі Посполитої перед від'їздом у військово-еміграцію. Про ці незвичайні історії, пов'язані з горами, цікаво розповідає Веслав Банах, колишній директор історичного музею в Санокі. А про музику не стільки розповідає, скільки грає у Верховині в Музеї гуцульських інструментів та Гуцульщини Романа Кумлика донька засновника Наталя. Її досконалість у виконанні композицій на різних інструментах дивує, тим більше, що грати на них вона вчилася... самостійно.

Карпати — це також пам'ятки в багатьох місцях складної історії, повної руйнувань, а водночас — невпинного відродження. Так було у випадку невеликого кarmелітського монастиря в селі Сусідовичі в Україні, а також у модриновому костелі в бещадському Середньому Селі. Попри багатовікові війни, пожежі та інші небезпеки, він зберігся, як і твори мистецтва в стилі коросненського бароко, які створюють його інтер'єр. Набагато менше пощастило бещадським замкам і садибам, яких колись було тут безліч. У цьому районі переважала дрібна земельна власність, і садиби розташовувалися майже в кожному населеному пункті. А до нашого часу їх дійшло лише... сім. Від них залишилися лише фундаменти, але сліди їхньої колишньої пишноти збереглися на архівних фотографіях. Аналогічна доля спіткала бещадське село Сянки, яке за часів Другої Речі Посполитої було одним із курортів, що найшвидше розвивалися. Після прокладення нової межі між ПНР та СРСР вона пройшла через його центр, тому забудову було знесено, а населення виселено.

Не можна було не додати й історії з циклу про карпатських бескидників. Цього разу вона присвячена найзнаменитішому лемківському розбійнику Андрію Савкові. ■

Приємного читання.
Адам Сіло

Projekt „ŚWIAT KARPACKICH ROZET - DZIAŁANIA NA RZECZ ZACHOWANIA KULTUROWEJ UNIKALNOŚCI KARPAT” finansowany ze środków Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020.

Niniejszy dokument został przygotowany przy pomocy finansowej Unii Europejskiej, w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020. Odpowiedzialność za zawartość tej publikacji leży wyłącznie po stronie Stowarzyszenia „Pro Carpathia” i nie może być w żadnym przypadku traktowana jako odzwierciedlenie stanowiska Unii Europejskiej, IZ lub Wspólnego Sekretariatu Technicznego Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020.

W numerze:



Projekt Międzynarodowe spotkanie ...	3 <i>Lidia Widak</i>
Projekt Głina była dla nas łaskawa	4 <i>Monika Tomaszewska</i>
Kresy Rzeczypospolitej Mała stolica Ormian	6 <i>dr Krzysztof Szpara</i>
Rozmowa z... Wielkopolanin w Sanoku	8 <i>Jacek Stachiewicz</i>
Zabytki w Karpatach Niezwyczajna historia klasztoru w Sąsiadowicach	15 <i>Юрій Лобан</i>
Zabytki w Karpatach Najstarszy drewniany w Bieszczadach	18 <i>Krzysztof Zieliński</i>
Ludzie Karpat W świecie Romana Kumłyka	20 <i>Iga Cichoń</i>
Entomologia Karpat Drapieżne chrząszcze z „Czerwonej listy”	22 <i>dr inż. Tomasz Olbrycht</i>
Projekt Serfując po „internetowych” Karpatach	24 <i>Maciej Basta</i>
Ludzie Karpat Frasobliwe świętkowanie	25 <i>Andrzej Potocki</i>
Bieszczadzkie historie Przedwojenne Sianki	28 <i>dr Lukasz Bajda</i>
Historia Dwory w Bieszczadach i ich właściciele	31 <i>dr Lukasz Bajda</i>
Karpaccy beskidnicy Zbój Sawko	36 <i>Rafał Grosz</i>
Legendy Karpat Jak ruski zamek diabli rozwalili	38 <i>Andrzej Potocki</i>
Polecane lektury	40 <i>Krzysztof Zieliński</i>

Karpacki Przegląd

Karpackий соціокультурний огляд

Redakcja: 35-032 Rzeszów, ul. Śreniawitów 6/1a
tel. 698 902 259,
e-mail: acylo@wp.pl

Redaktor prowadzący: Adam Cyło

Redakcja: Ł. Bajda, M. Basta, I. Cichoń, R. Grosz, Ю. Лобан, Т. Olbrycht, A. Pieniążek, A. Potocki, J. Stachiewicz, K. Staszewski, K. Szpara, M. Tomaszewska, L. Widak, D. Zawistowski, K. Zieliński

Druk/skład/tamania: Drukarnia Papiirus, Jarosław
Nakład: 1000 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga zgody Wydawcy. ISSN 2544-9028
© Copyright by Stowarzyszenie „Pro Carpathia” Czasopismo bezpłatne



Wydawca: Regionalny portal gospodarczy
www.gospodarkaPodkarpacka.pl

Wydawca: Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju i Promocji Podkarpackia „Pro Carpathia”
www.kulturakarpat.eu

www.facebook.com/szlak.woloski/
www.karpaty.turystyka.pl

www.procarpathia.pl
www.skarbypodkarpackie.pl

www.podkarpackiesmak.pl
www.zielonopodkarpackie.pl

fot. Andrzej Błoński
Natalia Kumłyk w Muzeum
Huculskich Instrumentów
i Huculszczyzny
Romana Kumłyka



Lidia Widak

Międzynarodowe spotkanie z mistrzami muzycznych instrumentów

Міжнародна зустріч із майстрами музичних інструментів

We wsi Pistryń (rejon kosowski obwodu iwanofrankowskiego) na Ukrainie w dniach 12-13 grudnia 2019 r. odbyły się warsztaty muzyczne zorganizowane w ramach projektu „Świat karpaccich rozet – działania na rzecz zachowania kulturowej unikalności Karpat”.

Dwudniowe przedsięwzięcie zostało przygotowane przez Partnera projektu organizację NGO «Social center «ETALON». Uczestnikami warsztatów byli goście z Ukrainy oraz Polski. Pierwszym punktem programu był spektakl teatralny pt. „Wieczór św. Andrzeja” w Domu Kultury w miejscowości Czerhanówka. Grupa aktorów-amatorów w trakcie artystycznego spotkania odtwarzała tradycyjne zwyczaje i wróżby związane z wigilią świętego Andrzeja. Natomiast wieczorem odbyła się uroczysta kolacja połączona z prezentacją regionalnej muzyki wykonanej na huculskich instrumentów muzycznych przygotowaną przez Jurija Michajłowicza Tafijczuka.

Drugiego dnia uczestnicy odwiedzili prywatne Muzeum Huculskich Instrumentów i Huculczyzny Romana Kumłyka w Wierchowynie, gdzie jego córka Natalia zade-monstrowała artystyczny pokaz gry na oryginalnych instrumentach huculskich. ■



У селі Пістинь (Косівський район Івано-Франківської області) в Україні з 12 до 13 грудня 2019 року відбулися музичні майстер-класи, організовані в межах проекту «Світ карпатських розет — заходи зі збереження унікальності культури Карпат»

Дводенний захід був підготовлений Партнером проекту Громадською організацією «Громадський центр «ЕТАЛОН». Участь у майстер-класах узяли гості з України та Польщі. Першим пунктом програми був театральний спектакль «Вечір св. Андрія» в Будинку культури в селі Черганівка. Група акторів-аматорів під час мистецької зустрічі відтворювала традиційні звичаї та ворожіння, характерні для передодня Святого Андрія. А ввечері відбулася урочиста вечеря в поєднанні з презентацією регіональної музики, що її виконували на гуцульських музичних інструментах, яку підготував Юрій Михайлович Тафійчук.

На другий день учасники відвідали приватний Музей гуцульських інструментів та Гуцульщини Романа Кумлика у Верховині, де його донька Наталя провела художню демонстрацію гри на оригінальних гуцульських інструментах. ■



Glina była dla nas łaskawa

Глина була люб'язна з нами

W dniach 8-10 listopada 2019 r. na terenie Uniwersytetu Ludowego Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej odbyła się druga część warsztatów ceramicznych w ramach projektu „Świat karpaccich rozet”. Ich bogaty program pozwolił wprowadzić uczestników w świat ceramiki, poznać jej historię, jak również różnorodne techniki jej tworzenia oraz wypалу.

Warsztaty prowadzone były przez artystów ceramików, będących mistrzami w swej dziedzinie, a jednocześnie umiejących się swą sztuką dzielić z innymi. W czasie tych zajęć miłość do gliny zaszczepiali w nas Katarzyna Ziomek z pracowni „Pepesza Ceramik” oraz dyrektorka goszczącego nas uniwersytetu Monika Wolańska. Spotkanie okazało się dla wszystkich niezwykle inspirującym, na co wpływ miało bez wątpienia piękno Beskidu Niskiego, artystyczna i nieco tajemnicza aura miejsca, jak i osobowość prowadzących.

W tej niezwyklej atmosferze upływała nam praca, która pierwszego dnia polegała na kończeniu wypalonych biskwitów. Poprzez zajęcia praktyczne poznawaliśmy rodzaje szkliv, metody szklwienia oraz inne rodzaje ozdabiania wstępnie wypalanej gliny. Etap kolorowania i szklwienia okazał się dość kłopotliwy i nastreczył nam nieco problemów, bo jak się okazało jest to najtrudniejsza część tworzenia ceramiki, przy której wymagana jest wiedza już na poziomie mistrzowskim. Dzięki radom i pomocy prowadzącej Katarzynie Ziomek udało nam się ozdobić przygotowane wcześniej elementy ceramiczne. Używaliśmy gotowych szkliv w postaci proszkowej, które należało rozcieńczyć w odpowiedniej ilości wody, a następnie nanieść na powierzchnię. Istnieją trzy metody szklwienia biskwitów: polewanie szklivem, zanurzenie i malowanie pędzelkiem. Do szklwienia używaliśmy wszystkich tych trzech metod. Po nałożeniu szkliva i osuszeniu wszystkie ozdobione przedmioty trafiły ponownie do pieca ceramicznego i spędziły tam czas aż do niedziel-



Lukasz Kojec (6)

nego poranka. Wypalane były przez półtorej doby w temperaturze do 1200° Celsjusza. Po otwarciu okazało się, iż wszystkie prace się udały i są przepiękne.

Drugiego dnia spotkaliśmy się z Moniką Wolańską, dyrektorem Uniwersytetu Ludowego w Sękowej Woli, a jednocześnie mistrzem ceramiki. Ona wprowadziła kursantów w świat kolejnej z technik wypалу ceramiki, czyli obwary - słowiańskiego raku. Jest to metoda wypalania ceramiki, polegająca na dekoracji i jednoczesnym uszczelnianiu przedmiotów poprzez ich zanurzenie w zakwasie, czyli roztworze mąki, drożdży i wody. Technika ta powstała już około XII wieku i była najbardziej popularna w krajach Europy Wschodniej. Dla nas okazała się bardzo widowiskowa i emocjonująca. Każdy z nas musiał wyjąć swoje naczyńka i ozdoby z rozgrzanego do 900° Celsjusza pieca, a następnie zanurzyć w zakwasie i w zimnej wodzie. Dzięki temu na powierzchni przedmiotów powstawały fantazyjne, nieprzewidywalne i przepiękne wzory, wypalane ogniem i gaszone wodą. Zdobnicza technika obwary przeszła nasze oczekiwania i dzięki niej nasze prace nabrały niezwykle tajemniczego charakteru.

Ostatni dzień zajęć upłynął nam na prezentacji wykonanych samodzielnie prac oraz na wspólnej pracy nad ukończeniem ceramicznej rozety karpacciej, która docelowo ozdobi ścianę pracowni letniej Uniwersytetu Ludowego. Okazało się, że glina była



Karolina Migurska (10)

dla nas łaskawa, a ulepione zeń przedmioty wyglądały bardzo profesjonalnie. Ich różnorodność, fantazyjność, wielorakość kształtów i kolorów cieszyła oczy! Powstały miski, kubki, filiżanki, solniczki i pieprzniczki, kafle, ptaszki, dzbanki, lampiony, anioły, a nawet piracki statek. Z kolei wyjęte z pieca wypalane elementy rozety naklejałmy za pomocą zaprawy na wcześniej przygotowaną deskę. Docelowo będzie ona pięknym elementem ozdabiającym ściany uniwersytetu. ■





8+10 листопада 2019 р. в Університеті народних ремесел у Волі Сенковій пройшла друга частина майстер-класів із кераміки в межах проекту «Світ карпатських розет». Їхня багата програма дозволила учасникам познайомитися зі світом кераміки, дізнатися її історію, а також вивчити різноманітні техніки її створення та випалу.

Майстер-класи проводили художники-керамісти, які є майстрами у своїй галузі, а водночас вміють ділитися своїм вмінням з іншими. Під час цих занять любов до глини прищеплювали нам Катажина Зьомек зі студії «Пепеша Церамік» і директорка університету-організатора Моніка Воланська. Зустріч виявилася для всіх надзвичайно надихаючою, на що вплинула, без сумніву, краса Нижніх Бескид, артистична та трохи загадкова аура місця, а також особистість ведучих.

У цій незвичній атмосфері йшла наша робота, яка в перший день полягала в тому, щоби докінчити випалені бісквіти. Завдяки практичним заняттям ми вивчали види глазури, методи глазурування та інші способи прикрашання попередньо обпаленої глини. Етап фарбування та глазурування виявився досить клопітким і приніс нам деякі проблеми, адже, як виявилось, це найскладніша частина процесу створення кераміки, яка вимагає знання вже на майстерному рівні. Завдяки порадам ведучої Катажини Зьомек нам вдалося прикрасити заздалегідь приготовані керамічні елементи. Ми використовували готові порошкові глазури, які треба було розбавити відповідною кількістю води, а потім нанести на поверхню. Є три техніки глазурування бісквітів: поливання глазурю, занурення та фарбування пензлем. Ми використовували всі ці три техніки. Після нанесення глазури та висихання всі прикрашені предмети знову потрапили в

керамічну піч і залишалися там аж до недільного ранку. Вони випалювалися протягом півтори доби в температурі до 1200° Цельсія. Після відкриття з'ясувалося, що всі роботи вдалися і виглядають чудово.

На другий день ми зустрілися з майстринею кераміки Монікою Воланською. Вона ввела курсантів у світ чергової техніки випалу кераміки, тобто обварювання — слов'янського раку. Це спосіб випалу кераміки, що полягає в декоруванні та одночасному герметизуванні предметів через занурення їх у закваску, тобто розчин борошна, дріжджів і води. Кожен із нас повинен був вийняти свій посуд і прикрасити з розігрітої до 900° Цельсія печі, а потім занурити в закваску та холодну воду. Завдяки цьому на поверхні предметів виникали химерні візерунки, випалені вогнем і гашені водою.

Останній день занять ми провели на презентації самостійно виконаних робіт та на спільній роботі з закінчення керамічної карпатської розети, яка в кінцевому підсумку прикрасить стіну майстерні. Виявилось, що глина була люб'язна з нами, а виліплені з неї предмети виглядали дуже професійно. Їхня різноманітність, химерність, різноманіття форм і кольорів радували очі! Ми виготовили миски, кухлі, чашки, сільнички й перечниці, кахлі, пташок, глечики, ліхтарики, ангелів і навіть піратський корабель. ■



Mała stolica Ormian

Kuty to miejscowość na Ukrainie, około 8 km na południowy wschód od Kosowa. Są położone nad Czeremoszem, który jest prawobrzeżnym dopływem Prutu. Rzeka jest w tym miejscu historyczną granicą między Pokuciem (nazwa pochodzi właśnie od miejscowości) a Bukowiną.

Kuty były niegdyś bogatym, handlowym miasteczkiem zamieszkanym przez wielokulturową społeczność Ormian, Rusinów, Żydów i Polaków. Założono je na początku XV wieku, a już w XVI wieku była to prężnie rozwijająca się osada handlowa, która w 1713 r., za sprawą Józefa Potockiego, późniejszego hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego, otrzymała prawa miejskie. Do XVIII wieku warzono tu sól.

Kuty były jednym z najważniejszych ośrodków ormiańskich w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Ormianie zajmowali się najczęściej handlem towarami orientalnymi, ale też końmi i wołami. Poza tym wyrabiali safian z koziej skóry. Cienka, miękka, wyprawiona garbnikami roślinnymi i barwiona skóra używana była chętnie do oprawiania książek, produkcji obuwia lub obić mebli. Na początku XIX wieku było tam jeszcze około 30 warsztatów specjalizujących się w jego produkcji.

Ormianie z całego regionu gromadzili się kilka razy w roku podczas uroczystości religijnych. Największą liczbę wiernych ściągał odpust w dniu św. Antoniego (13 czerwca), ze względu na słynący łaskami obraz tego świętego w miejscowym kościele. W 2. połowie XIX wieku parafia ormiańsko-katolicka w Kutach była największą w całej lwowskiej archidiecezji ormiańskiej.

W wydanym w 1914 r. przewodniku Mieczysław Orłowicz podaje informację, że w tamtym czasie Kuty były już nieco upośle-



Wikicom (2)

dzone przez ówczesny austro-węgierski rząd na rzecz sąsiedniego Kosowa. Liczyły wówczas ok. 7000 mieszkańców (3300 Żydów, 1900 Rusinów, 1300 Polaków i 500 Ormian). Piękna okolica i ciepły klimat przyciągały letników, korzystających z noclegów w miejscowych willach (m.in. Jakubowicza, dra Friedmana, Jekla i Sokolnia). W każdy wtorek i piątek w Kutach odbywały się targi, a także doroczne jarmarki, na które ściągało więcej



Mapa Ziemi Polskie przed pierwszym podziałem w 1772 r. i w obecnym stanie wydana w Lipsku ok. 1831 r., w fragmencie lokalizacja miasta Kuty.



Krzysztof Szpara (5)

Jeden z największych na Pokuciu kirkutów z zachowanymi kamiennymi macewami



Cmentarz z nagrobkami Ormian, którym opiekuje się Armenian Foundation



Zachowane, kamienne przyczółki przedwojennego mostu na rzece Czeremosz



Opuszczony i zniszczony budynek polskiej strażnicy granicznej z 1935 r.

Huculów niż na znany jarmark w Kosowie. Miejscowość miała duże znaczenie dla otaczających ją terenów. Świadczy o tym fakt, że od niej pochodzi nazwa regionu Pokucie.

W czasach 20-lecia międzywojennego na Czeremoszu była granica między polskim Pokuciem a rumuńską Bukowiną. W wydanym w 1933 r. Krótkim przewodniku po Huculszczyźnie autorzy podają liczbę 7300 mieszkańców. W tym czasie były tu m.in.: dworzec autobusowy, poczta (telegraf i telefon), urząd celny, posterunek policji państwowej, placówka Straży Granicznej, starostwo, nadleśnictwo, lekarz i apteka. Ciepły klimat sprawiał, że znakomicie udawały się tam owoce, w tym morele, brzoskwinie i melony. Kuty były znane również z rzeźbiarstwa (m.in. szkoła rzeźbiarska) i garncarstwa (pracownie Broszkiewicza oraz Petroneli i Piotra Nappów), a także z garbarstwa, kuśnierstwa i wyrobu kilimów.

Kuty reklamowały się jako najcieplejsze miasto w ówczesnej Polsce. Były popularnym letniskiem, szczególnie wśród ludności ormiańskiej i żydowskiej. W ciągu roku przybywało tu około 2000 letników. Turystyczną bazę noclegową i gastronomiczną tworzyły hotele, pensjonaty, restauracje oraz schronisko szkolne w miejskiej szkole żeńskiej. Do popularyzacji tego ośrodka przyczynił się m.in. proboszcz parafii ormiańskiej, ks. Samuel Manugiewicz, który w 1938 r. został wybrany na burmistrza.

W tym czasie charakterystyczne było rozmieszczenie poszczególnych grup mieszkańców. Część górna, tzw. Stare Kuty miała charakter wiejski i była zamieszkała głównie przez ludność huculską, w śródmieściu mieszkało wielu Żydów, a w dzielnicy nad Czeremoszem osiadła ludność ormiańska.

W 1939 r. Kuty liczyły około 7000 mieszkańców, w tym 40% Żydów, 40% Polaków i Ormian oraz 20% Ukraińców (Rusinów i Huculów). We wrześniu 1939 r. przez most na granicznym Czeremoszu tysiące uchodźców z Polski uciekało do Rumunii. Tam pomocy udzielały im rumuńskie władze oraz Polacy i Ormianie

mieszkający na Bukowinie. Wśród polskich żołnierzy poległych w Kutach w walce z Sowietami znalazł się także Tadeusz Dołęga-Mostowicz, jeden z najpopularniejszych pisarzy okresu międzywojennego.



W tym grobie do 1978 r. spoczywało ciało T. Dołęgi-Mostowicza

go, autor m.in. Kariery Nikodema Dyzmy i Znachora. Pisarz został pochowany na miejscowym cmentarzu, a w 1978 r. jego szczątki ekshumowano i przeniesiono na Cmentarz Powązkowski w Warszawie.

Współczesne Kuty (ukr. Кути) to osiedle typu miejskiego, w obwodzie iwanofrankiowskim, w rejonie kosowskim. W 2018 r. liczyły około 4080 mieszkańców. Miejscowość jest ośrodkiem przemysłu drzewnego i lokalnego rzemiosła artystycznego (tkactwo, hafciarstwo, garncarstwo). Ma też tradycje uzdrowiska klimatycznego. Tragiczne wojenne czasy sprawiły, że miejscowość podupadła. Widać to m.in. po liczbie i strukturze ludności. Kuty w niczym nie przypominają dawniej tętniącego życiem wielokulturowego miasteczka. Ludność żydowska została wymordowana. Zginęło też wielu Polaków i Ormian, a pozostali przeważnie wyjechali do Polski, na Dolny Śląsk.

W Kutach warto zobaczyć m.in. pozostałości dawnego układu urbanistycznego, pozwala on poczuć nieco klimatu dawnej galicyjskiej prowincji. W rynku dominuje ratusz z końca XIX wieku. Znajdują się tu trzy świątynie: dawny kościół ormiańsko-katolicki z XVIII wieku ze słynącym łaskami obrazem św. Antoniego, kościół rzymskokatolicki z XIX wieku oraz cerkiew z XIX wieku. Ponadto będąc w Kutach obowiązkowo należy odwiedzić cmentarz katolicki z cennymi nagrobkami Ormian oraz z miejscem, gdzie do lat 70. XX wieku spoczywał Tadeusz-Dołęga Mostowicz. Nie można też pominąć pięknego, jednego z największych na Pokuciu, kirkutu z zachowanymi, pięknie zdobionymi kamiennymi macewami. Warto udać się też na spacer nad Czeremosz, gdzie można odszukać kamienne przyczółki przedwojennego mostu, a przy nich opuszczony i zniszczony budynek polskiej strażnicy granicznej z 1935 r.

W 1939 r. Kuty były na krańcu Rzeczypospolitej. To właśnie w tym miejscu, 17 września 1939 r., miało miejsce ostatnie posiedzenie polskiego rządu na terytorium II Rzeczypospolitej z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego i naczelnego wodza marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, na kilka godzin przed ich ucieczką do Rumunii. Tak więc z drugiej strony było to również miejsce symbolicznego końca Kut i Polski tamtych czasów... ■

Bibliografia:

Krótki przewodnik po Huculszczyźnie, Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1933.

Orłowicz M., *Ilustrowany przewodnik po Galicyi, Bukowinie, Spżu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim*, Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie, Lwów 1914.

Osip-Pokrywka M. i M., *Polskie ślady na Ukrainie*, BOSZ 2013.

Rąkowski G., *Ukraińskie Karpaty i Podkarpacie*, Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, Pruszków 2014.

Wielkopolanin w Sanoku

Z Wiesławem Banachem, wieloletnim dyrektorem Muzeum Historycznego w Sanoku, twórcą Galerii Zdzisława Beksińskiego, rozmawia Jacek Stachiewicz

- Pan jest Wielkopolaninem?

- Takim się urodziłem.

- Z dziada pradziada?

- Tak. Pochodzę z Kościana, to takie dalekie przedmieście Poznania, 42 kilometry koleją na trasie Poznań - Wrocław.

- Bywa pan w swoim rodzinnym mieście?

- Każdego roku staram się być przynajmniej raz. Ostatnio byłem w listopadzie ubiegłego roku.

- Co z pozytywistycznej Wielkopolski przeniosło pana najpierw do Kongresówki, bo na studia w Lublinie, a potem do tej galicyjskiej nędzy, do Sanoka?

- Wiele wskazywało na to, że tak jak większość Wielkopolan pójdę na historię sztuki na Uniwersytet Adama Mickiewicza do Poznania, ale kiedyś na lekcji religii ksiądz spytał mnie: - A nie chciałbyś iść na KUL? Na co odpowiedziałem mu jakoś tak bez namysłu nawet: - Tam jest historia sztuki? To super, świetnie!

- I było super?

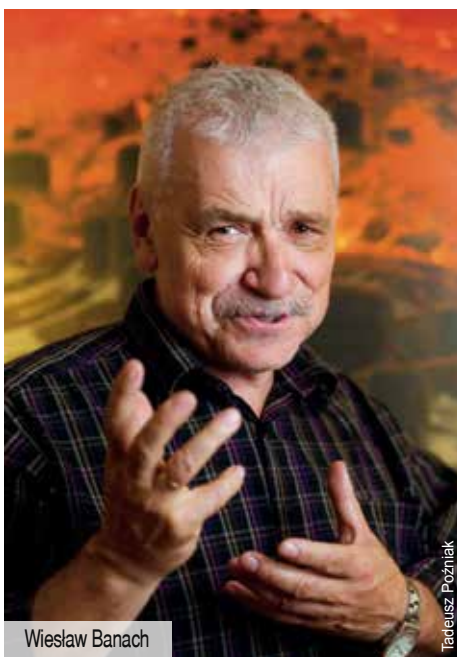
- Gdzie Kościan, a gdzie Lublin. Lublin – zupełnie inne strony, daleko, ale to było coś, co spowodowało, że natychmiast zaświeciły mi się oczy. W wieku około osiemnastki człowiek chce się zmierzyć z życiem sam, a wygoda wynikająca z faktu, że 45 minut od uniwersytetu czeka dom, obiad, kolacja i wszystko to, co się ma w rodzinnym domu, to przecież żadna życiowa przygoda, żaden sprawdzian samodzielności, charakteru. Studiowanie w Lublinie, to było oderwanie się od domu, pomysł dla mnie genialny. Nie dlatego, żeby było mi źle w rodzinnym domu, bo było mi w nim cudownie, ale chciałem się zmierzyć z czymś nowym, samodzielnie, radzić sobie samemu.

- Jak się panu objawił Lublin z początku lat 70. XX wieku?

- Zobaczyłem inny świat już po pierwszym kroku od wyjścia z pociągu. Do końca życia nie zapomnę tego obrazu. Pomyślałem sobie, że jestem u Malczewskiego „Na etapie”.

- Niczym w słynnym cyklu jego obrazów o zsyłce na Sybir?

- Zobaczyłem zupełnie inny świat – dworzec jakiś taki malutki, przycupnięty, jakieś babuszki z tobołkami niczym z zapadłych ruskich miasteczek... To nie miało nic wspólnego z moją Wielkopolską. Na dodatek pociąg przyjechał wczesnym rankiem, gdzieś około piątej i ten dworcowy pejzaż budzącego się



Wiesław Banach

wyburzano bowiem całe dzielnice pod budowę bloków z wielkiej płyty. Stały tam zupełnie opustoszałe domy z gospodarstwami, bo to niewielkie w sumie centrum Lublina było wtedy otoczone miejsko-wiejskimi zabudowaniami, bardziej wiejskimi – z chałupami, stodołami, stajniami... Chodziłem po tym, jak po żywym, acz zamarłym już świecie prozy Brunona Szulca. Po wąskich błotnistych uliczkach, przy których stały domki i chałupki, wiele z powybijanymi już oknami... Byłem oczarowanym tym, czego nie miałem u siebie, a co tam spotkałem. Na moich oczach w nicość przepadał pejzaż miasta sięgający swoim obrazem jeszcze carskiego zaboru. Nie wiem, czy ktoś to udokumentował. Jeśli nie, to szkoda wielka.

- Skąd wzięło się u pana zamiłowanie do historii sztuki?

- Nie było źródła rodzinnego, rodzice nie interesowali się zbyt tą dziedziną wiedzy, aczkolwiek, gdy się gdzieś jeździło, to się zwiedzało, ale żeby były ku temu jakieś podszepty, to nie. Nie cierpiałem w szkole rysować, nie lubiłem zajęć z plastyki. Idąc do liceum miałem wybór między klasą plastyczną i muzyczną. Wybrałem muzyczną, bo muzykę kochałem, wyobrażałem sobie, że to ja siedzę gdzieś tam na organach barokowych wielkiego kościoła, na przykład poznańskiej fary i że to ja wypełniam muzyką Bacha to wspaniałe wnętrza. Ale z ukończeniem muzyki i jej świata posiadałem, niestety, kompletny brak jakichkolwiek talentów muzycznych. Muzykologia więc odpadała, bo jednak trzeba było trochę tych zdolności mieć.

- Po pół wieku nadal pan żałuje, że nie ma muzycznego talentu?

- I tak, i nie. Słuchanie cudownej muzyki klasycznej pozostało we mnie do dziś, natomiast wtedy nie przypuszczałem, że sztukę muzyczną zamienię na profesjonalne zajęcie się sztukami plastycznymi, do których w szkole serca nie miałem. A stało się tak za sprawą dwóch najbliższych kolegów, którzy marzyli o architekturze, interesowali się sztuką, bardzo często w moim towarzystwie o niej mówili i tak mimochodem to zainteresowanie od nich kupiłem. Pamiętam, iż nagle uświadomiłem sobie, że bardzo szybko wyprzedzam ich w tym co widzę, jak to widzę

dnia... Niedaleko dworca stały dwie furmanki z zaprzęgniętymi końmi... Byłem zachwycony. Potem poszedłem na miasto nie mając pojęcia, jak trafić do akademika. Szedłem i chłonałem ten pejzaż zupełnie innej Polski, którą znałem. Czysta poezja... Ten Poznań, taki od krawężnika do krawężnika, ta moja wielkopolska dyscyplina, która sprawiała, że co sobotę sprzątałem przed domem ulicę, bo przecież było nie do pomyślenia, by jakiś kawałek trawki gdzieś wystawał z krawężnika, czy jakiś papierek albo niedopałek leżał... A tu tego odwrotność, swoboda, kto by się tam jakimś papierkiem leżącym na ulicy przejmował... Tu wszystko było inne. Zachwyciło mnie to i do końca mojego pobytu w Lublinie byłem wierny temu pierwszemu wrażeniu. Byłem zachwycony miastem, uczelnia, studiami, ludźmi tak innymi w swoim charakterze – niespieszącymi się, czasami nawet abstrakcyjnymi w swoim działaniu, którego rzeczowość była na dalszym planie... Tego mi brakowało w Wielkopolsce.

- Zderzył się pan ze światem zupełnie innym od tego, który dotychczas pan znał i ten świat pana zafascynował?

- Czysta poezja, że powtórzę. Traktowałem to jako nowe doświadczenie. Na dodatek trafiłem na nadzwyczajny moment, szkoda, że w tamtych czasach nie miało się przy sobie aparatów cyfrowych. Właśnie wtedy

i jak umiem o tym mówić. W konsekwencji pobliskie Muzeum Narodowe w Poznaniu stało się niemalże moim drugim domem. Bywałem tam nieustannie, zgłębiając bez żadnych kompleksów sztukę starą i sztukę najnowszą. Tę drugą ludzie wtedy wyśmiewali, kpili, że co to jest, a ja stawiałem się jej coraz bliższy. Podświadomie zaś nosiłem w sobie obraz znakomitej gotyckiej fary, jaka jest w Kościanie, w której murach zapisany jest niemal cały wykład historii sztuki od gotyku poczynając przez renesans, manieryzm, barok aż do rokoka. To była moja pierwsza, wywodząca się z dzieciństwa jeszcze, podświadoma zupełnie lekcja historii sztuki.

- Gdzie drugą pan odebrał?

- W Lubiniu, w pobliżu którego jeździliśmy na wakacje. W niewielkiej wiosce znajduje się jeden z najwcześniejszych klasztorów benedyktyńskich. Jest tam kościół niemal całkowicie romański, a obok drugi, w którego wnętrzu też jest zapisany cały wykład historii sztuki począwszy od romańszczyzny aż po wiek XIX. Historia sztuki zapisana w murach i na ścianach tych kościołów tworzyła podłoże, na którym potem wybuchło moje zainteresowanie sztuką. Ogromne wrażenie musiała na mnie zrobić estetyka baroku, bo do dziś pamiętam, że śniło mi się później to iluzjonistyczne malarstwo barokowe - kolorowe, pełne ruchu, światła. Wtedy na zawsze pokochałem barok. To wszystko działo się we mnie samoistnie, spontanicznie, nikt personalnie nie przekazywał mi zainteresowania, a już tym bardziej zamiętowania sztuką. Widocznie jestem wrażliwcem, a może nawet nadwrażliwcem. To jednak nie znaczyło, że będę studiował historię sztuki.

- Kiedy się pan na nią zdecydował?

- Czasy były takie, że należało być pragmatycznym i kształcić się w dziedzinie, która ma w sobie coś realnego, najlepiej w jakimś zawodzie inżynierskim. Ale po powrocie z wakacji, tych przed klasą maturalną, tenże sam ksiądz, który później wskazał mi KUL, zapytał mnie i kolegów, z którymi wędrowałem wtedy po górach, co żeśmy tam widzieli. Zacząłem mu opowiadać nie to co razem widzieliśmy, tylko co ja widziałem. Popatrzył wtedy na mnie tak uważnie i powiedział: - Słuchaj, ty naprawdę jesteś bardzo wrażliwy, może być poszedł na historię sztuki? – Jest coś takiego? – odpowiedziałem zaskoczony. No i od tego momentu zacząłem się historią sztuki interesować. Wyczytałem wszystko, co było na ten temat w kościańskiej bibliotece, a potem w bibliotekach Poznania.

- Rodzice nie oponowali, że historia sztuki i na dodatek w Lublinie?

- Nie, absolutnie, byli bardzo zadowoleni. Trochę tylko biadolili, że tak daleko, ale z drugiej strony – mówili - to KUL, więc może się chłopak nie zepsuje. Pamiętam do dziś widok rodziców z oddalającego się pociągu, którym wyjeżdżałem na stu-



Zrekonstruowany z wielu różnych fragmentów ikonostas na ekspozycji w Muzeum Historycznym w Sanoku

dia i to zupełnie nie mające żadnych podstaw przekonanie, że ja już tam do nich nie wrócę. Nie dlatego, żebym nie lubił, bo kochałem swoją rodzinę, swoje miasto i Wielkopolskę. W tym sensie nie wrócę na stałe, że moje dalsze życie nie będzie związane ani z Kościanem, ani z Poznaniem, tylko z jakimś innym miejscem na Ziemi. To było wrażenie zupełnie nierealne, ale bardzo mocne. I rzeczywiście. Gdy później tam wracałem, to już jako gość, a nie jako stały mieszkaniec.

- Jeśli pójdziemy tropem francuskiej maksymi *cherche la femme*, czyli „szukajcie kobiety”, to zawędrujemy za panem z Kongresówki do galicyjskiego Sanoka?

- Dokładnie tak. Już na pierwszym roku zakochałem się do nieprzytomności w dziewczynie pochodzącej z Sanoka, która też studiowała historię sztuki i która była na tym samym roku co ja. Pobraliśmy się po trzecim roku. Gdy po drugim bodajże roku chodziliśmy podczas wakacji po Kościanie moja wtedy jeszcze dziewczyna powiedziała: - Wiesz co, ale ja bym chciała mieszkać w Sanoku. Pamiętam, że naszła mnie wtedy refleksja, że nie muszę mieszkać akurat w Kościanie, ale wolałbym jakieś miasteczko, w którym jest trochę starej architektury, jakiś gotyk, kościół ze starym wystrojem, to wszystko czym do tej pory nasiąkłem. A Sanok... Przyjechałem tu pierwszy raz podczas wakacji w 1973 r. i nie powiem, bym się Sanokiem zachwyił. Trudno mi dzisiaj tak mówić o mieście, w którym spędzam prawie całe swoje dorosłe życie, ale tak było. Nie znalazłem tutaj starej architektury, którą uwielbiałem i uwielbiam, która zawsze, do dziś, działa na mnie jak najlepsza muzyka. Tutaj tego nie miałem. Co prawda zaraz po przyjeździe moja ukochana zabrała mnie

na zamek, bo wszyscy sanocznicy byli zawsze zakochani w tym swoim zamku. Wydał mi się taki malutki, przykurczony, brzydki, wszystko co było związane z jakimś wyrazem stylistycznym zostało zamazane przez niszczącą zabudowę austriackiego zaborcy... Tylko kamień był autentyczny i parę detali - jedno z obramień, może dwa zrekonstruowane okna. To wszystko.

- Nie poruszyła pana świadomość, że chodzi pan po kamieniach, po których stąpały co najmniej dwie królowe, żony Władysława Jagiełły?

- Miałem i tę wiedzę, i świadomość była, ale przytłaczał je ówczesny, przygnębiający wręcz stan zamku. To było wrażenie na podstawie oglądu zewnętrznego. Istotna zmiana optyki nastąpiła, gdy weszliśmy do środka. Zobaczyłem niewielką wtedy, bo zgromadzoną w dwóch zaledwie salach, ekspozycję ikon. Pomyślałem sobie: - Kurczę, jakieś prowincjonalne muzeum, jakiś Sanok, co do którego trzeba się zastanawiać, czy on jeszcze jest w granicach Polski, czy już za i nagle takiej klasy ikony!

- Zderzenie peryferii ówczesnej Polski i sztuka, którą pan tam zastał, było szokiem?

- Czymś absolutnie niespodziewanym! To była sztuka, którą na pewno nie do końca jeszcze wtedy rozumiałem, ale ujrzałem poziom artystyczny tych ikon. Był znakomity! Także ich język plastyczny! Znałem przecież ikony z reprodukcji, więc nie były one dla mnie czymś zupełnie nowym, ale ten język plastyczny był bardzo daleki od mojego ukochanego baroku, czy nawet od gotyku. Więc nie to, że się zakochałem w ikonach, ale poczułem dreszcz, że jeśli mogę pracować w muzeum, w którym jest kilka arcydzieł, to jest to niegłupie.

- Miał pan wrażenie, że spotyka nie tylko stylistyczną, ale w całym swoim wyrazie artystyczną inność?

- Tak. Spotykałem inność, ale w pewnym sensie zarazem kulturową obcość. Religijnie bardzo głęboką sztukę, ale z zupełnie inną formą wypowiedzi estetycznej. I to już było coś, na czym można było zacząć budować sympatię do Sanoka, nie mówiąc oczywiście o sympatii do mojej dziewczyny. Spacerując po tarasie za zamkiem miałem przed sobą przepiękny krajobraz. I wtedy nie miasto mnie urzekło, ale to co się dzieje dookoła... Góry Słonne, San ze swoimi zakolami, to było coś, co od razu stało mi się bliskie i od razu też chciałem po tym krajobrazie pałętać się, poznać co jest za każda następną górą.

- **Zawsze twierdzę, że miejscowi gorzej od przyjezdnych znają swoje miasta, ponieważ rzadko kiedy podnoszą głowę do góry, by zobaczyć to swoje miasto powyżej pierwszego piętra. Turysta zaś zawsze chodzi z głową zadartą i widzi to, czego miejscowi nie dostrzegają. Dlatego przyjezdni zawsze więcej chłoną od miejscowych. Mówię to w kontekście wrażeń estetycznych.**

- Po przyjeździe do Sanoka na stałe zacząłem więc pałętać się po jego okolicach bliższych oraz dalszych i jako przyjezdny dość szybko i dość dogłębnie poznałem ów okolicznościowy pejzaż. Znam go stokrotnie lepiej od mojej żony, rodowitej sanoczanki.

- **W 1977 r. zamieszkał pan w Sanoku na dobre. Za pierwszym pobycem ujrzał pan zamek w kształcie zniszczonym przez austriacką przebudowę, sprawdzony do poziomu byle jakiej budowli. Miał pan wizję, jakby on mógł wyglądać w przyszłości?**

- Ze ścian zamku już za pierwszym razem wyczytałem jak on mógł wyglądać, ale w przeszłości. Zamieszkałem w Sanoku w latach finansowej nędzy i wtedy można było sobie tylko wyobrazić, że kiedykolwiek uda się przywrócić jego pierwotny kształt i wygląd.

- **Od czego zaczął pan pracę w muzeum?**

- Jeszcze podczas studiów odbyliśmy razem z żoną właśnie w Sanoku praktykę muzealniczą. Praktyka była świetna, bo nie trzeba było nic robić, ale za to poznałem całą załogę. Szybko stwierdziłem, że znamy się jakby od zawsze i jak się okazało, byli to moi przyszli koledzy. Budowało to nadzieję, że jeśli będę tu pracował, to będzie fajnie. A potem skończyły się studia i trzeba było szukać pracy. Zapukałem więc do sanockiego muzeum. Edward Zając, jego ówczesny dyrektor, powiedział, że rzeczywiście nie mają na etacie historyka sztuki, bo znakomity specjalista od ikon, pan Romuald Biskupski, był co prawda historykiem sztuki, ale nie chciał pracować na takim etacie. Wolał być bibliotekarzem.

- **Dlaczego?**

- Ponieważ będąc na etacie bibliotekarza miał święty spokój i mógł więcej zrobić jako



badacz malarstwa ikonowego, a był w tym wysokiej klasy profesjonalistą. Na etacie historyka sztuki musiałby wymyślać wystawy oraz inne imprezy, czyli rozpraszać się. No więc okazało się, że od 1 sierpnia 1977 r. jest etat i muszę przyjść do muzeum do pracy. To „muszę” trochę mnie wkurzyło, bo zaplanowaliśmy już sobie z żoną ostatnie długie studenckie wakacje. Ale nie było wyboru.

- **A żona?**

- Czekaliśmy na nasze pierwsze dzieciątko. Mieliśmy więc zostać rodziną, a ja miałem na nią pracować. Zarabiałem oczywiście mniej niż niewykwalifikowany robotnik w Autosanie i pewnie by mnie przyjęli na takiego do tej fabryki, ale to nie byłoby to. Nie chodziło o pieniądze, chodziło o Panią Sztukę.

- **W tamtych czasach Autosan był na fali, a Pani Sztuka była przez tę falę zmywana.**

- Tak. Muzeum Historyczne było wtedy biednym, nędznym, miejskim muzeum.

- **Podczas pierwszych odwiedzin w muzeum uderzyła pana estetyka ikon. Czy zaczął pan penetrować otoczenie, w którym te ikony się znajdowały? Myślę o całym Beskidzie Niskim, Bieszczadach i bliskich Sanokowi Górach Słonnych.**

- Włóczenie się po górach było dla mnie ogromną przyjemnością, myszkowałem po ich najbardziej zapadłych zakamarkach. W muzeum zaś pan Biskupski namawiał mnie, abym zabrał się za ikony. Czulem jednak jakiś taki wewnętrzny dystans, czułem, że to jednak nie jest mój świat badawczy. Między innymi dlatego, że cała literatura dotycząca sztuki cerkiewnej była rosyjskojęzyczna. Dla mnie nie była to kwestia bariery językowej, ale niechęć. Nie tyle do kultury rosyjskiej, co do tego całego sowiezizmu, jaki nam narzucono i jaki nas wtedy otaczał.

- **Melchior Wańkowicz pisał, że przez niechęć do Rosji, a potem do Związku Radzieckiego, Polacy nie uczą się naj-**

łatwiejszego dla nas języka, jakim jest rosyjski, a przecież język sąsiadów, przez setki lat wrogów, warto znać. No i nie uczyli się. Skoro więc nie ikony, to w co pan wszedł?

- Pan Biskupski wyczuł moją rezerwę w odniesieniu do ikon. Powiedział więc, że w magazynie muzeum jest, wtedy prawie całkowicie niedostępna nawet dla pracowników, kolekcja obrazów polskich artystów działających w pierwszej połowie XX wieku we Francji. Podarowana została muzeum przez sanoczanina Franciszka Prochaskę i jego żonę Marię.

- **Franciszek Prochaska - sanoczanin, żołnierz, dyplomata i nade wszystkim malarz.**

- Gdy zobaczyłem owe obrazy poczułem, że to jest właśnie mój świat. Po co mam się mordować z rosyjskim, skoro ja kocham to malarstwo, kocham epokę, w której ono powstawało. I na dodatek mam dużo do zrobienia, bo przecież większość z artystów, których mieliśmy już w tych zbiorach, w literaturze polskiej nie istniała. Byli to artyści, których próba konfrontowania się ze sztuką światową, próba zrobienia kariery, nauczania się czegoś, zawiadła do Francji, zwłaszcza do Paryża. Kolekcja powstała dzięki Prochaskie, ponieważ on ich zaczął żywić, kupować coś od nich, pomagać im, no i ja nagle spotkałem się ze wspaniałym malarstwem ludzi, o których na studiach nigdy nie słyszałem.

- **Prochaskowie cały swój zbiór podarowali sanockiemu muzeum?**

- Dwukrotnie. Po raz pierwszy w roku 1963. Drugi raz po jego śmierci. Wszystko co jeszcze zgromadził, zostało w Prowansji, w Aix-en-Provence. Dzięki rodzinie oraz mieszkającemu także tam malarzowi, Janowi Waclawowi Zawadowskiemu, udało się te zbiory przywieźć do Sanoka. W tym malarstwie się zakochałem, stało się moim światem, w który się nieomal całkowicie zaangażowałem. Do dziś jest moim zapleczem badawczym i naukowym. Kto wtedy wiedział o kimś takim, jak na przykład Zaboklicki.

- **Dziś jego obrazy sprzedawane są na aukcjach po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ale... Muzeum Historyczne w Sanoku funkcjonuje teraz w świadomości publicznej jako miejsce, gdzie znajduje się autorska galeria Zdzisława Beksińskiego, a kto wie o galerii Prochasków?**

- Coraz więcej ludzi. Wielu dowiaduje się o niej mimochodem, gdy przyjeżdża do muzeum ze względu na Beksińskiego czy ikony i poziomem malarstwa kolekcja Prochasków budzi olbrzymie zdumienie. Także Francuzów, którzy również nas odwiedzają i z ogromnym zdziwieniem ponad tysiąc kilometrów od swego kraju przenoszą się nagle w prowansalski czy bretoński pejzaż. Nieoczekiwanie w jakimś takim Sanoku... Poza tym bierzemy z tymi obrazami udział w różnych monograficznych wystawach.

Przed laty na przykład w wielkiej wystawie prac Pankiewicza, która straciłaby sporo ze swej wartości bez obrazów znajdujących się w naszym posiadaniu. Ale oprócz Prochasków i malarzy tworzących ich kolekcję, jest jeszcze oczywiście nazwisko Zdzisława Beksińskiego.

- O ile później od obrazów podarowanych przez Prochasków zaistniał on w pańskiej świadomości?

- Wręcz przeciwnie – dużo wcześniej. Powiedziałbym nawet, że najwcześniej. Jeszcze zanim pierwszy raz przyjechałem do Sanoka.

- Jakim cudem? Na początku lat 70. prawie nikt jeszcze o nim nie słyszał.

- Ja też nie, ale gdy przyjechałem na pierwsze zimowe ferie do Kościana, to jak zwykle wybrałem się do mojego ukochanego Muzeum Narodowego w Poznaniu. Trafiłem tam na wystawę sztuki współczesnej podzieloną na szkoły. Tu mamy Kraków, tu mamy Warszawę, tu mamy Gdańsk, a tutaj wisi jeden obraz podpisany „Zdzisław Beksiński. Sanok”. Gdy więc wróciłem po feriach na studia do Lublina, to natychmiast zapytałem się mojej ukochanej, czy zna takiego artystę, który się nazywa Zdzisław Beksińskiego. Odpowiedziała: - Ależ oczywiście! Jesteśmy rodzinnie bardzo blisko, odwiedzamy się, jesteście w ciągłych kontaktach. Jak przyjedziesz do Sanoka to do nich pójdziemy. I zimą 1972 r. poznałem pana Zdzisława Beksińskiego, przyjaciela rodziny mojej przyszłej żony. Poznał nas jeden jedyny jego obraz eksponowany na wystawie sztuki współczesnej w Muzeum Narodowym w Poznaniu, podpisany „Sanok”. Obraz nie za bardzo mi się podobał, no ale artysta i Sanok... Zaintrygowało mnie to od razu. Tak więc Beksiński pojawił się w mojej estetycznej świadomości jeszcze przed muzeum sanockim, zanim zauroczyły mnie ikony, zanim zachwyciłem się około sanockim pejzażem. Ale mogę powiedzieć, że Beksiński był drugim moim odkryciem związanym z Sanokiem. Pierwszym była oczywiście żona.

- Jak to się stało, że Beksiński wyjechał z całą rodziną do Warszawy?

- W 1972 r. władze miasta poinformowały mieszkańców osiedla pod wzgórzem zamkowym, gdzie mieszkał z rodziną, że ich dom i całe osiedle zostanie wyburzone pod budowę bloków z wielkiej płyty gierkowskiej. Beksiński się załamał, no bo w bloku nie ma mieszkań tak przestronnych jak jego dom i jak w mieszkaniu w bloku pomieści się ze swoją mamą, żoną, synem i oczywiście pracownią, nade wszystko z tym, co już stworzył jako artysta. Ale w tamtych czasach zamiary i ich realizacja to były dwie różne kwestie, więc jeszcze przez kilka lat temat wyprowadzki nie wracał. Powrócił jednak w 1976 r. i to od razu na ostro. Oświadczone mu, że musi się wyprowadzić do mieszkania w bloku. Wtedy ktoś podsunął mu pomysł wyprowadzki do Warszawy.

Łatwo nie było, ponieważ nie miał zameldowania, a czasy były takie, że jak się nie miało zameldowania, to nie można było kupić mieszkania. Przy pomocy znajomych udało mu się pokonać tę kwadraturę koła. Ponieważ sprzedawał już wtedy obrazy za granicę i miał pieniądze, więc wreszcie kupił mieszkanie na Służewie.

- Jak on się czuł w Warszawie?

- Doskonale. Nie cierpiał Sanoka.

- Dlaczego?

- W Sanoku on, artysta, był na widoku. Różne ploty i niestworzone historie o jego rodzinie po mieście krążyły, a on tego nie nawidził. W Warszawie zaś był anonimowy, zależało mu, by nikt go nie poznawał, nie wskazywał palcem, jak w Sanoku. Mieszkał w bloku, w mieszkaniu na trzecim piętrze, które sam po budowlańcach wyremontował i wykończył. Spał na podłodze, remontował ściany, podłogi, sufity i świetnie się z tym czuł, bo to lubił i umiał to zrobić. Rozkład całego mieszkania sam sobie rozplanował, urządził i dopieszczał.

- Był pan konsultantem filmu o rodzinie Beksińskich. W ilu procentach ten film jest prawdziwy? Bo krytycznie, acz łagodnie, pan się do niego odnosił.

- Nie byłbym krytyczny, gdyby film nie pretendował do tego, by być biografią Beksińskich. Gdyby jego autorzy jasno powiedzieli, że jest to „fabuła oparta na kanwie”, że nie obchodzi ich za bardzo wierność faktom i osobom, wtedy wszystko byłoby w porządku. Ale autorzy zaparli się, by film promować jako biografię rodziny Beksińskich oraz każdego z jej członków z osobna. I tego nie zaakceptuję. Mógł to być ciekawy film o rodzinie, w której życiu, jak w wielu rodzinach, są chwile dramatyczne, ciekawy film z głębszą refleksją o śmierci, o trudnościach w porozumiewaniu się ludzi, którzy się jednak bardzo kochają.

- Nad tą rodziną wisiło fatum śmierci – taka jest wymowa filmu.

- Tego fatum nigdy, naprawdę nigdy, nie było. Wszystkich nas czeka to, że umrzemy, jeżeli jednak film skupia się wyłącznie na śmierci, to wysła przekaz, że nad głowami Beksińskich fatum to rzeczywiście wisiło. A to nie jest prawda. Beksińscy byli modelowym wręcz małżeństwem kochających się osób i pełnych miłości wzajemnych relacji. Któraś strona w tym małżeństwie jest oczywiście mocniejsza, a która była w nim najmocniejsza? Pani Sztuka! Ani Zdzisław, ani Zosia. Zosia wierzy w geniusz swego męża, mąż zaś wszystko robi dla swoje Sztuki i na dodatek wyżywi i to bardzo dobrze całą rodzinę. W końcu. Po latach biedy, nawet nędzy. I Pani Sztuka w tym małżeństwie ma głos decydujący. Pani Zosia składa ze swoich prywatnych potrzeb i zainteresowań na ołtarzu sztuki różne rzeczy, ale Zdzisław też to robi. Pani Zosia nienawidzi Warszawy, ale jednak to jest dobre miejsce dla arty-

sty – łatwo sprzedać, łatwo mieć kontakty z tymi, którzy chcą kupić. Do Sanoka trudno było dojechać, trzeba było obrazy pakować w skrzynie, wysyłać, uszkadzały. Mamy więc Kochające się małżeństwo. Mamy bardzo fajnego chłopaczka, syna, który świetnie się rozwija, jest bardzo inteligentny, ale staje się coraz trudniejszy i coraz bardziej depresyjny. I z tym nie umięją sobie poradzić ani matka, ani ojciec. I rzeczywiście jest to ich dramat. Ale to nie jest dramat na co dzień, bo jest przecież cała masa chwil radosnych, pogodnych, dowcipnych, przyjemnych, a tego w filmie w ogóle nie ma. Film wypruwa z ich życia prawdziwą codzienność.

- I radość?

- I radość, i przyjemność, co pokazują te setki zdjęć, na których widać, jak się lubią przebierać, wyglupiać.

- Oni są na tych zdjęciach radośni, uśmiechnięci.

- Właśnie. Bo tacy byli. Ja rozumiem założenie filmu, że jest mu potrzebna jakaś dramaturgia, ale obraz rodziny został zdeformowany mimo prawdziwości wielu szczegółów.

- I film wygrał nagrodę na festiwalu.

- Więc reklamowali film, nie tylko ze setki oparty na faktach, ale że jest to biografia. Więć na biografię to trudno się zgodzić.

- W roku 1990 został pan dyrektorem Muzeum Historycznego w Sanoku. Miał pan wizję jego rozwoju?

- Wizję rozwoju to nosiłem w sobie od lat. Wiedziałem co chciałbym w muzeum zrobić i w pewien sposób już za dyrektora Edwarda Zająca na to wpływałem. Wpływałem na przykład na to, co kupujemy, czego nie kupujemy, jak rozszerzamy nasze zbiory.

- Co kupujemy?

- Przede wszystkim rozbudowujemy kolekcję Prochasków. Druga sprawa - kupujemy artystów sanockich i oczywiście Beksińskiego. Nieustająco. Nie zapominamy na przykład o Marianie Kruczkowi - sanoczaninie jakby nie było. To malarz, rzeźbiarz, twórca reliefowych kompozycji, wtedy już bardzo rozpoznawalny, profesor krakowskiej ASP, sprzedający swoje prace zwłaszcza w Skandynawi. Natomiast nie kupujemy różnych przypadkowych rzeczy, które przynoszą ludzie. Tu jakieś lichtarze, tam jakieś wazy, rzeczy same w sobie czasem nawet godne uwagi, ale co my z tym będziemy robić? Przecież z czegoś takiego nie tworzy się kolekcji! Pieniądzy jest mało i trzeba je rozsądnie wydawać.

- Aleksander Rybicki, twórca sanockiego muzeum budownictwa ludowego, przyniósł do muzeum ceramikę pokuczką, mimo że powinna ona być po drugiej stronie rzeki, w skansenie właśnie.

- Ale była to już kolekcja! Gotowa, a nie pojedyncze eksponaty. Ma pan rację, że tak naprawdę powinna być po drugiej stronie Sanu, ale przyniosła ją do nas.

- Dlaczego?

- Nie znam tego z autopsji, ale zdaje się, że zadecydowały względy osobiste. Coś gdzieś iskrzyło. Nieporozumienie, niechęć. Nie wchodził w to.

- Jeszcze gdy nie był pan dyrektorem miał pan wpływ na zakupy. Jaki kierunek obrał pan po zostaniu szefem muzeum? Bo kolekcja Beksińskiego to mimo wszystko jest sprawa późniejsza, będąca konsekwencją jego tragicznej śmierci.

- Galeria może tak, ale nie kolekcja, ponieważ muzeum już w czasach, gdy jego szefem był Stefan Stefański, a to lata 60. ubiegłego wieku, kupowało prace Beksińskiego. Historia tworzenia jego kolekcji ma już dobrze ponad pół wieku. Kolejny dyrektor, Edward Zajac, też kupował prace Beksińskiego, przynajmniej jedną rocznie. Także Beksiński przekazywał muzeum te swoje prace, które uważał za najlepsze. Więc Beksiński i moi poprzednicy na dyrektorskim stanowisku myśleli o utworzeniu kolekcji. Tym bardziej, że sprzedawał nam swoje prace za przysłowiowe psie pieniądze i zawsze były to obrazy, które uważał w swoim dorobku za najlepsze.

- Był rok 1990. Objęcie przez pana stanowiska dyrektora niemal się zbiegło z rewolucją „Solidarności” i całą przemianą ustrojową oraz gospodarczą, którą ona przyniosła. Ta sytuacja stworzyła jakieś problemy, z którymi pan się dotychczas nie spotykał?

- Był to okres nędzy i niedoboru odziedziczony po systemie socjalistycznym. Na nic nie było pieniędzy, bo wtedy niemal w ogóle nie było pieniędzy. I w tej sytuacji rada miasta Sanoka oświadczyła, że nie chce mieć na garnuszku muzeum, które to muzeum ma na dodatek na swoim garnuszczyku przybytek nazywający się muzeum gen. Świerczewskiego w Jabłonkach. Rada przyznała nam tak niski budżet, że nie dało się wyżyć. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, aby wojewoda krośnieński wziął nas pod swoje skrzydła. I to się udało. Nieco odetchnąłem, ale za węglem czaił się kolejny problem. Jeszcze otóż przed rokiem 1990 Pracownia Konserwacji Zabytków przygotowały dokumentację remontu zamku, ale nie mieliśmy pojęcia, co w niej jest, ponieważ nie chciano jej nam pokazać. Gdy zostałem dyrektorem spadły na mnie tony tej dokumentacji i ręce mi opadły.

- Tak była ciężka?

- Dotyczyła poprawienia stanu technicznego. Nie było ani słowa o działaniach i pracach, które pozwoliłyby odczytać i odtworzyć renesansowy charakter zamku. A my wszyscy, którzy pracowaliśmy w muzeum, wiedzieliśmy, że pod paskudnymi tynkami austriackich pachciarzy kryje się prawdziwe oblicze zamku. Nie mówiąc już o tym, że poustawiali

w zamkowych komnatach mury i ścianki działowe, które zupełnie wypaczały pierwotną architekturę wewnątrz. Gdy później rozmawiałem kilkakrotnie z dyrektorem zamku na Wawelu też mi podawał przykłady zniszczeń, których austriacy zabórcy tam dokonali.

- Gdy podniósł pan ręce po ich wcześniejszym opadnięciu, to co pan zrobił?

- Zacząłem szukać pieniędzy, bo na remont nie miałem ani grosza. Wyobraża pan sobie w czasach, gdy brakowało na wszystko, człowieka, który klamkuje, by mu dać pieniądze na remont muzeum? Ale w tym pierwszym, jak to się mówi – kontraktowym parlamencie, byli świetli ludzie, którzy doceniali wartość kultury, sztuki, wiedzieli, że bez tych wartości nie ma tożsamości i narodowej, i państwowej. Tak trafiłem do znakomitego aktora, Gustawa Holoubka, który był wtedy senatorem. Spotkałem się z nim w Senacie kilkakrotnie, przedstawiłem sytuację, opisałem wspaniałą historię zamku, powiedziałem, że grozi mu unicestwienie i on te pieniądze skądś dla nas wydarł. Po przejęciu zamku do swego inwentarza wojewoda krośnieński także czuł się w obowiązku znajdować dla nas pieniądze i to robił.

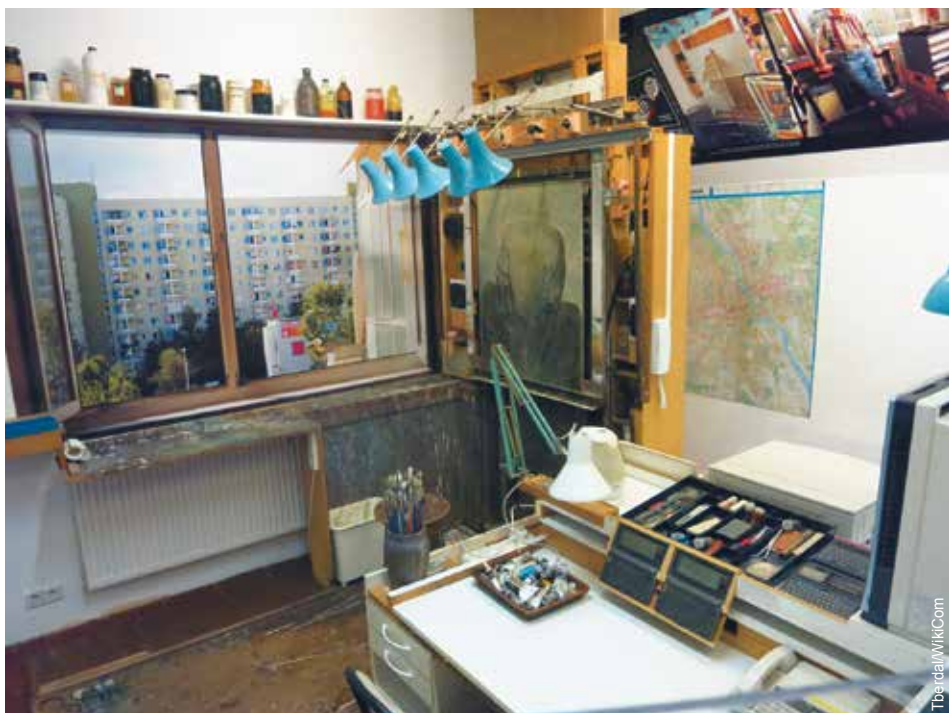
- Dokumentację remontową zlecił pan przerobić?

- To by było bez sensu, i niepotrzebną stratą czasu. Wojewódzkim konserwatorem zabytków był wtedy na nasze szczęście, Alojzy Cabała. Nie musiałem go przekonywać, co powinno się zrobić i on się zgodził na moją strategię, że robimy ten remont z dokumentacją PKZ-ów w rękach, ale tak naprawdę robimy to wszystko, czego w niej nie ma. W przeciwnym razie wyrzucilibyśmy pieniądze w błoto, bo zakonserwowalibyśmy

dewastację zamku dokonaną przez Austriaków. Cały remont koncentrował się więc na przywracaniu sanockiemu zamkowi królewskiemu charakteru renesansowej warowni. Zamek sanocki wraz z niedalekim zamkiem Sobień, po którym zostały się, niestety, jedynie ruiny, tworzył ciąg panowania nad doliną Sanu. To przecież w zamku Sobień Piotr Kmita zorganizował ucztę weselną po ślubie Władysława Jagiełły z Elżbietą Granowską w kościele św. Michała Archanioła w Sanoku. Rozpoczęliśmy więc remont i całe szczęście, że nie było wtedy funduszy unijnych, co dziś jest niemal na porządku dziennym.

- Herezje pan głosi kwestionując sens unijnej pomocy.

- Wcale tej pomocy nie kwestionuję, bo później żeśmy z unijnych pieniędzy korzystali nawet obficie. Ale wtedy były inne okoliczności i uwarunkowania. Inwestycje finansowane z pieniędzy unijnych trzeba otóż robić kropka w kropkę zgodnie z dokumentacją. Jeśli zrobi się odstępstwo, traci się finansowanie. A nasz remont, to było permanentne rozmijanie się z dokumentacją, bo celem, który nam przyświecał było przywrócenie renesansowego charakteru zamku. Ten remont był takim klasycznym rozpoznaniem bojem. Co uderzyło się w mury zatynkowane przez Austriaków, to odkrywało się czy to detale renesansowe, kamieniarki okiennej czy portali. Wydobywaliśmy na światło dzienne, przywracaliśmy oczom ludzi renesansowy charakter zamku. Mieliśmy oczywiście też ogromne problemy, bo dach trzymał się tak naprawdę na dwóch murszejących drewnianych podporach i pierwsza silniejsza burza mogła go zmieść na szosę biegnącą pod skałą, na której stoi zamek. Gdyby ktoś zginął, to już na samym początku dyrektorowania



Pracownia Beksińskiego z mieszkania w Warszawie odtworzona w Galerii w sanockim muzeum

poszedłbym do kryminału. Ciekawie więc się dla mnie zaczynało. A gdy skuliśmy tynek z murów zamku, to okazało się, że w kilku miejscach one się rozchodzą i też mogą runąć. Trzeba było wykonywać zastrzyki z betonu, wzmacniać, łączyć...

- Takie prace kosztują ogromne pieniądze!

- Dziś rzeczywiście byłyby to ogromne pieniądze, ale my robiliśmy remont na początku lat 90., kiedy to inwestycje w Polsce zamarły, bo nie było pieniędzy. Właściciele raczkujących dopiero co firm budowlanych niemal całowali po rękach, gdy udało im się złapać jakąś budowę. Byleby pokrywała koszty i dawała jakiś niewielki zysk. Takie były wtedy realia. Prowadziliśmy więc remont za małe pieniądze, tanio, co nie znaczy, że byle jak.

- W roku chyba 2010 rozpoczął pan odtwarzanie skrzydła południowego zamku, zniszczonego w 1915 r. przez Rosjan. Beksiński wiedział, że przygotowuje pan miejsce dla jego kolekcji, że będzie w nim jego galeria?

- Nikt tego skrzydła nie zniszczył, zostało rozebrane przez Austriaków. Kwestia zaś galerii Beksińskiego pojawiła się jeszcze za jego życia. Pierwotnie myśleliśmy, by zrobić ją na strychu, co Beksińskiemu, który tu często bywał, bardzo się podobało. Zapisał nawet w swoim dzienniku, jak to fajnie, że to robimy. Ale... Chyba mniej więcej dwa miesiące przed jego śmiercią rozmawialiśmy telefonicznie. Powiedziałem, że przygotowuję dokumentację pod odbudowę skrzydła południowego, że będę się starał o środki unijne i że tam powstanie jego galeria. To był balsam na jego zbolatą duszę. Miał przecież za sobą śmierć syna i żony.

- Dlaczego właśnie tam postanowił pan umieścić kolekcję Beksińskiego?

- Gdy tylko pojawił się zamiysł odtworzenia skrzydła południowego zamku byłem przekonany, że to będzie idealne miejsce na ekspozycję jego sztuki. Mieliśmy już wtedy bardzo dużo jego prac – kupowaliśmy, on nam przekazywał w darze, także w depozyt. Depozyt tworzył jeszcze za życia syna, Tomka. Z myślą o tym, że jeśli umrze, a Tomek będzie miał jakieś problemy finansowe, to zawsze będzie mógł coś wyciągnąć z depozytu i sprzedać. Zabezpieczał więc syna i wybierał do depozytu najlepsze swoje obrazy. Zakładał też, że być może nie trzeba będzie ich wyciągać, więc zostaną w naszym muzeum i wejdą w skład kolekcji. No, ale Tomek odszedł kilka lat przed ojcem. Po jego śmierci Beksiński poprosił mnie o rozmowę na temat swego testamentu i przepisał nam wszystko co po nim pozostanie - dzieła sztuki, konto bankowe, cały swój majątek. I po jego śmierci dorobek całego jego życia stał się nasz.

- Kto opracował koncepcję Galerii Beksińskiego włącznie z odtworzeniem jego gabinetu? Czyj to był pomysł?

- Od początku do końca mój. Pomysłu rodziły się w mojej głowie, ale, niestety, już bez konsultacji z Beksińskim. Jeszcze na samym początku, gdy była dopiero wstępna koncepcja i gdy staraliśmy się o środki unijne, to jeszcze żył, ale już dwa miesiące później został zamordowany. Prace koncepcyjne nie były łatwe, bo konserwator wahał się z wyborem koncepcji, a były one różne. Od hipernowoczesnej konstrukcji na dziedzińcu, po inne, dość oryginalne. Wahał się, bo wiedział, że na cokolwiek się zdecyduje, będzie straszliwie krytykowany. Środowisko konserwatorskie jest takie, że jak cię pochwalą ci z Krakowa, to od czci i wiary odsądzą ci z Warszawy i na odwrót. A jak tym z Warszawy będzie się podobało, to na pewno nie tym z Gdańska i tak dalej. Poza tym nie wiedzieliśmy, bo nie zachowała się jakakolwiek dokumentacja, jak wyglądało autentyczne renesansowe czy wczesnobarokowe skrzydło południowe zamku. Trzeba je było od nowa wymyślić, ale na planie fundamentów, które zachowały się w ziemi. I tak rodziła się koncepcja... Moje założenie było takie, by to skrzydło nie „zjadło” nam autentycznego zamku, ale również, by nie było za bardzo kontrastowe, przy czym powinno być jasno widoczne, że jest to budynek współczesny, a nie historyczny.

- I to się panu udało świetnie pogodzić.

- Dziękuję za uznanie. Na końcu była jeszcze kwestia elewacji. Jak ją opracować, aby zgubić, że w tym skrzydle będzie o jedno piętro więcej niż w zamku? I wtedy przyszedł mi do głowy pan Beksiński.

- Dlaczego „pan”?

- Zawsze byłem z nim per pan. On był z pokolenia moich rodziców, ja tylko nieco starszy od jego syna. Dziś łatwo przechodzi się na „ty”, mnie szacunek dla ludzi starszych na to nie pozwalał. No więc patrzyłem na jego rysunki, obrazy i nagle uświadomiłem sobie, że on w budynkach, które malował, umieszczał rozrzucone okienka, bez jakiegokolwiek symetrii. Pomyślałem, że jeśli tak zrobimy, to może jakieś wnikliwe oko dopatry się w elewacji śladu myśli Beksińskiego. I pomysł z jego obrazów przeniesiliśmy na elewacje. Natomiast koncepcja przeniesienia pracowni zrodziła się, gdy po śmierci Beksińskiego sprzątaaliśmy jego całe mieszkanie. Od razu wiedziałem, że pracownię, w której zresztą przegadałem z nim wiele godzin, w której tyle rzeczy się działo, musimy przenieść do muzeum. Obfotografowaliśmy ją całą, popisywali, rozebrali, przewieźli do muzeum i tu na miejscu ją odtworzyliśmy.

- Urządzenie galerii Beksińskiego zdeteminowało pańskie działania po roku 2000?

- Na pewno była to rzecz najważniejsza. Ale remont i budowa to przedsięwzięcia bardzo skomplikowane i trzeba było wchodzić w tysiące różnych problemów, które zabierają mnóstwo czasu. To, co mnie denerwo-



Zamek w Sanoku. Z lewej strony zabytkowe, renesansowe skrzydło, z prawej - nowe z Galerią Beksińskiego.

wało już wtedy, gdy pierwszy raz zetknąłem się z zamkiem, to że wygląda to miejsce jak park z pałacem, a nie jak warownia, z którą to myślą obiekt ten przecież budowano. Rosło wtedy wiele drzew, nie widziałem żadnych śladów murów obronnych, z jednej strony stał jakiś drewniany płot, z drugiej nawet płotu nie było. Wszyscy mówili: - O, jaki tu macie w Sanoku ładny park! To było całkowite zafałszowanie miejsca, na dodatek utrwalone w świadomości miejscowych. A to przecież była warownia, jeszcze średniowieczna, znakomicie położona i odgradzona od miasta głęboką fosą. Fosa już nie wykopaliśmy – pomyślałem, ale możemy pokazać, że były tutaj mury obronne, że to był zamek, czyli system zamknięty, system obronny. I to mi się udało zrobić. Gdy więc wspominał tamten czas, to muszę powiedzieć, że myśleliśmy wtedy wielotorowo. Odkryliśmy przecież ślady wieży z czasów Kazimierza Wielkiego. Nie wiemy, jak ona wyglądała, więc powiedzieliśmy konserwatorowi, że z tego miejsca roztacza się piękny widok na San i całą okolicę, więc nie zrobimy rekonstrukcji wieży, ale jeśli ją trochę podniesiemy, to zrobimy taras widokowy dla turystów. I w ten sposób udało się zrobić przyjemne miejsce, gdzie ludzie przychodzą i oglądają dolinę Sanu. Być może, że stojąc tam, rozumieją strategiczne położenie zamku nad Sanem akurat w tym miejscu.

- Są tacy, którzy oddają panu cześć i chwałę mówiąc, że zrobił pan podczas remontu zamku wszystko, co było do zrobienia, aby przywrócić jego renesansowy charakter, kształt warowni, ale nie zrobił pan jednej rzeczy - nie przekopał pan fosy, w której może być skarbница zabytków z zamkiem związanych.

- Miałem olbrzymią na to ochotę, ale trzeba stąpać po ziemi. O wszystkim decydują pieniądze. Nie byłoby problemu, by wpisać to przedsięwzięcie do projektu związanego z odtworzeniem właściwego wyglądu dziedzińca, ale jak pan zapewne wie, każdy projekt unijny jest związany z wkładem własnym. Podniesienie wartości projektu unijnego pewnie by przeszło bez problemu, ale nie mogliśmy się wykazać, że mamy wkład własny. Druga sprawa, która przychodziła mi do głowy w związku z fosą, to przekonanie, że przecież trzeba

jakąs robotę zostawić następnym pokoleniom. Niech oni sobie to przebadają, przeszukają i poznają. Byłem bardzo ciekaw, co z tych murów mogło spaść do fosy, czy też, co do niej wyrzucono, ale nie miałem możliwości, by to sprawdzić.

- Dlaczego robił pan wszystko sam, oczywiście wraz z pracownikami muzeum. Dlaczego nie zlecił pan zarówno projektu galerii, jak i wykonawstwa firmie zewnętrznej?

- Główna przyczyna była prozaiczna - brak pieniędzy. Jeden ze znajomych muzealników powiedział mi, że gdy chciałem w Warszawie w ten właśnie sposób zorganizować wystawę obrazów pewnego malarza, to człowiek, do którego się o to zwróciłem, zażądał dwóch milionów złotych honorarium za zaprojektowanie ekspozycji. Robiliśmy więc niemal wszystko własnymi siłami. Projekt galerii zrobiłem sam, także dlatego, bo często projektanci ekscytują się własnymi pomysłami, a nie służą artyście i jego dziełu. Wydaje mi się, że to co przez wiele lat robiliśmy, byłoby przez Beksińskiego zaakceptowane. Przegadałem z nim setki godzin. Znałem jego charakter, jego wrażliwość estetyczną, stosunek do życia, śmierci, jego filozofię, znałem jego relacje rodzinne. To wszystko składało się na obraz nie tylko malarza, ale też na obraz postaci wyjątkowej w polskiej sztuce XX wieku. I w naszej galerii chcieliśmy i pokazujemy Beksińskiego jako postać wyjątkową, nie tylko jego malarstwo. Żaden projektant zewnętrzny by tego nie zrobił z tej prostej racji, że Beksińskiego nie znał. A skoro nie znał, to jak mógłby przedstawić w pełnym wymiarze jego postać. Jeśli już coś zlecaliśmy, to konkretne rzeczy, a nie całość do wykonania. To co zrobiliśmy, zostało zrobione bez żadnych projektowych papierów i projektowych kosztów, które tylko windowałyby cenę.

- W jednym z wywiadów powiedział pan, że gdy pierwszy raz ujrzał sanocki zamek, odniósł pan wrażenie, że to jakaś prowincjonalna izba pamięci. Z tej prowincjonalnej izby pamięci, jaką zastał pan tutaj po rozpoczęciu pracy, przywrócił pan zamek królewski w Sanoku do życia. Odkuł pan ze ścian zatynkowanych przez austriackich pachciarzy jego renesansowy wyraz, urządził galerię dla dwóch współczesnych kolekcji – malarstwa współczesnego Prochasków oraz Zdzisława Beksińskiego. Czy jest jednak coś, czego nie udało się panu zrobić?

- Najbardziej mi żal, że nie udało się zrobić znaczących wystaw Beksińskiego za granicą. Polskę całą, wzdłuż i wszerz zjeździłem z jego obrazami, w dużych miastach byliśmy parokrotnie. Wszędzie wystawy spotykały się z ogromnym zainteresowaniem, robiły wrażenie, pozostawały w pamięci. Były też rekordy frekwencji, więc z czasem zdecydowałem, że będziemy wystawę sprzeda-

wać, nie będziemy ją wozić za darmo. Kto ją chce, ten musi nam zapłacić. Beksiński już po śmierci zaczął więc swoimi obrazami dla galerii zarabiać. W Muzeum Narodowym w Gdańsku wystawa pobiła zdaje się frekwencyjny rekord, bo obejrzało ją około 17 tysięcy osób. W Nowej Hucie czekało się na Beksińskiego w kolejce dwie godziny. Nigdy nie było problemu z odbiorcami. Zawsze były to tysięczne i wielotysięczne audytoria. Nie policzyłem dokładnie, ale zrobiliśmy w Polsce około 90 wystaw Beksińskiego.

- Dlaczego nie udało się to za granicą?

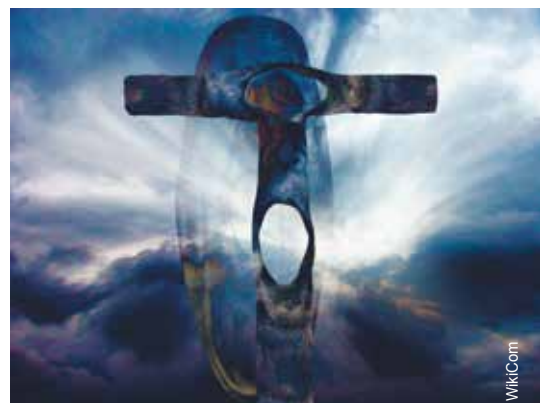
- Ponieważ Beksiński nie stał się rozpoznawalnym artystą w tak zwanych kręgach opiniotwórczych. Na naszą stronę internetową wchodziły setki tysięcy ludzi z całego świata, ale są to zwykli mieszkańcy różnych krajów, a nie ci, którzy kreują tak zwane trendy. Ileż to razy słyszałem zapytania na przykład od Holendrów, którzy zawitali do naszego muzeum, dlaczego w ich kraju nie było wystawy Beksińskiego...

- No właśnie - dlaczego?

- Dlatego, że nikt nas o to nie poprosił, a ja nie lubię być w pozycji petenta, któremu łaskawie, bo Polak, z biedniejszego kraju, coś tam się rzuci. Zrobiliśmy wystawę w Brukseli, w Parlamencie Europejskim, była bardzo dobrze przyjęta, ale to był zamknięty, ograniczony krąg publiczności. Zrobiliśmy wystawę w Wiedniu, w muzeum sztuki fantastycznej. Tam jednak albo nie chcieli, albo nie potrafiono „sprzedać” Beksińskiego wiedeńskim i tysiącom turystów, którzy Wiedeń odwiedzają. A my nie mieliśmy pieniędzy na promocję. To takie muzeum, które ze wszystkimi swoimi obrazami nie dorównuje nawet jednemu obrazowi Beksińskiego. Wyszło więc słabo. Chcieliśmy zrobić wystawę w Pradze, Beksiński marzył, żeby jego obrazy znalazły się w głównych galeriach tego miasta. Chętni byli, ale trzeba było podpisywać umowy na dwa albo nawet trzy lata do przodu, a ministerstwo dawało środki w obrębie jednego roku. Jak więc podpisywać zobowiązania, których konsekwencje finansowe trzeba potem ponosić w przypadku nie wywiązania się z umowy, nie mając pewności, że w kolejnym roku ministerstwo zaakceptuje nasz projekt? Tego typu rzeczy decydowały... Może uda się mojemu następcy, bo to jest nadal otwarta i bardzo interesująca karta.

- Będąc po raz pierwszy w pańskiej galerii Beksińskiego zdumiał mnie ostatni jego obraz. Całkowicie inny od poprzednich. Wyciszony, pogodny, jasny, pozbawiony katastroficznych wizji. Jest taki ciepły i spokojny. Nie drażni i nie prowokuje, nie wywołuje nagłych emocji. Tak jakby to było jakieś memento... Nie odnosi pan takiego wrażenia?

- Ten obraz rzeczywiście jest wyciszony, prawie nic się na nim nie dzieje. Jest spokojny, powiedziałoby się – ikonowy



Fotomontaż Zdzisława Beksińskiego, kolekcja Piotra Dmochowskiego

przez swoją symetryczność i taki wiecznie trwały bezruch. Ale czy Beksiński cokolwiek przewidywał?

- A pałaca się katedra Notre-Dame?

- I jej zdeformowane, uszkodzone mury... World Trade Center i ta jego głowa – architektura z dymiącymi oknami i rozsypanych się elementami... Dzwonili do niego znajomi i mówili: - Zdzisiu, ty już w 1980 r. przewidziałeś, że coś takiego będzie. On się tylko śmiał i oczywiście zaprzeczał. Ale mnie dreszcz przechodził po plecach, gdy oglądałem jego wczesne rysunki z lat jeszcze 60. i te postacie z nożami w ręku. Bo ja wiem, jak wyglądała jego śmierć. U Beksińskiego jest sporo takich momentów, kiedy można powiedzieć, że swoją sztuką wyprzedził życie.

- Powiedział pan, że pakuje się na emeryturę, ale chyba tylko jako dyrektor, bo historykiem sztuki zostaje się przecież na całe życie?

- Marzę, by zostać tylko historykiem sztuki. Dyrektorowanie bardzo to utrudnia.

- Co historyk sztuki Wiesław Banach będzie robił na emeryturze?

- Pierwsza rzecz, to kontynuowanie rozpoczętego już przed laty opracowywania dorobku Zdzisława Beksińskiego. Zrobiliśmy dwa katalogi wczesnych prac, czyli może jedną dziesiątą naszych zasobów jego dzieł. Wszystko to trzeba opracować i ufam, że emerytura mi na to pozwoli. Mam też zaległości z galerią Prochasków i z kilkoma artystami, o których jeśli ja nie napiszę, to nikt tego nie zrobi i ci świetni artyści nie utrwalą się w historii. Trzeba ich zapisać w historii sztuki polskiej. Moja decyzja o emeryturze, a proszono mnie żebym jeszcze został, związana więc jest ze świadomością, że pewnych rzeczy poza mną nikt nie będzie w stanie napisać, bo nikt nie zna tych ludzi bądź ich historii z autopsji. To jest wiedza osobista, z bezpośrednich kontaktów. Gdy się jest dyrektorem, to systematyczna praca się rwie, ponieważ dezorganizują ją tysiące innych problemów, którym trzeba poświęcić i czas, i uwagę. Mam nadzieję, że na emeryturze uda mi się zrealizować to, czego nie mogłem jako dyrektor. ■

Юрій Лобан

Niezwykła historia klasztoru w Sąsiadowicach Чудодійні історії монастиря кармелітів у Сусідовичах

Zabudowania wiekowego klasztoru karmelitów w wiosce Sąsiadowice (rejon starsamborski, obwód lwowski) z kościołem św. Anny są wpisane do rejestru zabytków Ukrainy o znaczeniu krajowym. Świątynia ta, pochodząca z XVI wieku, może pochwalić się niezwykle interesującą historią, która rozpoczęła się od cudownego, wręcz mistycznego, znaleziska.

Klasztor karmelitów w Sąsiadowicach zaczął swoje istnienie od cudu. Zgodnie z legendą w 1585 r. podczas orki miejscowi chłopcy na tak zwanej Górze Łaskawej wygrzebali z ziemi płaskorzeźbę św. Anny Samotrzeciej. Wówczas w miejscowości już od stuleci istniała parafia rzymskokatolicka z kościołem św. Mikołaja. Do niego więc przeniesiono znalezioną relikwię. Jednak płaskorzeźba w cudowny sposób wielokrotnie powracała na miejsce swojego znalezienia. Ostatecznie podjęto decyzję, aby tu właśnie założyć tymczasową kaplicę, a w 1589 r. właściciel wioski Erazm Herburt wybudował murowany kościół właśnie pod wezwaniem św. Anny.

Potomek Erazma Herburt był upośledzony umysłowo, a więc nie mógł samodzielnie dysponować dziedzictwem swojego ojca, ale opiekun chłopca Jan Szczęsny Herburt w 1603 r. w jego imieniu wydał przywilej założenia przy kościele klasztoru karmelitów bosych, zatwierdzony przez biskupa przemyskiego. W tym samym roku zakonicy pod kierunkiem przeora Bartłomieja Przeworskiego wybudowali dwanaście drewnianych celi i refektarz.

Formalnie klasztor powstał dopiero w 1608 r., a ostateczne przekazanie mu przez Herburtów kościoła św. Anny i położonych dookoła gruntów odbyło się w 1609 r. Po śmierci Jana Szczęsnego nowi prawni opiekunowie niepełnosprawnego Erazma Wojciecha Herburt - Mikołaj Daniłowicz i jego wnuczka Izabela wraz z mężem Eustachym Tyszkiewiczem - nie tylko potwierdzili przywilej klasztoru, ale nawet podporządkowali mu parafie we wsi Sąsiadowice i z sąsiedniego Felsztyna. Przy przekazaniu kościoła karmelici zobowiązali się wobec Herburtów, że wzniosą murowany klasztor, jednak przez wiele



Obraz Święta Anna Samotrzecja znajduje się w głównym ołtarzu kościoła / Образ святої Анни Самотретьої розташована у головному вівтарі костелі

Кармелітський монастир у прикарпатському селі Сусідовичі в Старосамбірському районі Львівщини разом зі своїм храмом святої Анни занесені до Реєстру пам'яток України національного значення. Ця святиня, що веде свій лік з XVI століття, може похвалитися непересічною історією, яка розпочалася із чудодійної та майже містичної знахідки.

Кармелітський монастир у Сусідовичах розпочинався з чуда. Як свідчить давня легенда, у 1585 році під час обробітку землі місцеві селяни на так званій Ласкавій горі виорали із землі барельєф святої Анни Самотретьої. На той час у селі вже століття як існувала римо-католицька парafia з костелом святого Миколая. До нього й пере-

дали знайдену реlikвію. Проте барельєф чудесним чином кількаразово повертався на місце знахідки. Врешті на цьому місці заклали каплицю, а у 1589-му власник села Еразм Гербурт збудував муrowаний костел, посвячений на честь святої Анни.

Нащадок Еразма Гербурта був розумово неповноцінним і не міг самостійно розпоряджатися батьківським спадком, але опікун хлопця Ян Щасний Гербурт у 1603 році від його імені надав фундацію на закладення при костелі монастиря кармелітів босих, затверджену єпископом Перемишля. Того ж року кармеліти на чолі з пріором Бартоломеем Пшеворським збудували дванадцять дерев'яних келій та рефектар.

Формально монастир було створено лише 1608 року, а остаточно передача йому Гербуртами костелу святої Анни та навколишніх ґрунтів відбулася у 1609-му. Після смерті Яна Щасного Гербурта нові опікуни неповносправного Еразма Войцеха Гербурта Микола Данилович та його онука Ізабелла з чоловіком Євстахієм Тишкевичем не лише підтвердили фундацію монастиреві, але й підпорядкували йому парафії Сусідович та сусіднього Фельштина.

При передачі костелу кармеліти зобов'язались перед Гербуртами звести муrowаний монастир, однак довгі роки це так і залишалось лише обіцянку. Спочатку обмежились тим, що обвели приміщення



Видок класzтору кармелітів в Сусідовичах. До II wojny światowej z lewej strony kościoła znajdował się identyczny, jak po prawej fragment zabudowań klasztornych. Nie odbudowano ich ze względu na brak środków. / Вид на монастир кармелітів у селі Сусідовичі. До Другої світової війни з лівого боку костелу знаходився однаковий фрагмент монастирських споруд, як праворуч. Їх не відновили через брак коштів.



Богдан Волошин (2)



Widok klasztoru w 1747 r., rycina ok. 1850 r., Archiwum i Biblioteka OO. Karmelitów na Piasku w Krakowie / Вид на монастир 1747 рік, гравюри приблизно з 1850 року



Fotografia klasztoru w Sądziowicach z czasów II Rzeczypospolitej (f.w.] F.A.Ossendowski, *Karpaty i Podkarpackie*, Wydawnictwo Polskie R. Wagnera, Poznań 1939 r.) oraz to samo ujęcie współcześnie / Фотографія монастиря кармелітів у Сусідовичі до 1939 року та сьогоdnішній вигляд



Богдан Волошин

lat pozostawało to jedynie obietnicą. Początkowo ograniczono się do tego, że otoczono pomieszczenia ceglany murem obronnym z czterema bastionami i fosą, a następnie fortyfikacje wzmocniono wałem ziemnym i zbudowano murowaną bramę.

Od początku klasztor należał do polskiej prowincji Zakonu Karmelitów Bosych, a w 1688 r. został przekazany do ruskiej prowincji św. Józefa.

W 1649 r. przeprowadzono gruntowną przebudowę drewnianego klasztoru, wybudowano dwukondygnacyjny gmach ze szpitalem, a do kościoła dobudowano kaplicę Matki Bożej Szkaplerznej. Drugą kaplicę św. Józefa ukończono w 1710 r. Na początku XVIII wieku klasztor był dwukrotnie przebudowywany, za każdym razem jednak pozostawał budowlą drewnianą. Wreszcie w 1742 r. w klasztorze wzniesiono murowane cele, a wszystko dzięki dotacji podstolego litewskiego i starosty żydaczowskiego Franciszka Borzęckiego. Do początku XIX wieku większych zmian na terenie założenia klasztorowego nie odnotowano, przynajmniej źródła historyczne o nich nie wspominają. Dopiero w 1827 r. w kościele rozpoczęto nowy, duży remont – odnowiono wówczas elewację i malowidła wewnętrzne, zamontowano nowy dach. Niestety, już w następnym roku w klasztorze wybuchł wielki pożar, który uszkodził sklepienia świątyni, trzy z siedmiu ołtarzy i organy. Jeszcze bardziej ucierpiały cele klasztorne. Odbudowa ze zniszczeń trwała ponad piętnaście lat.

W czasie I wojny światowej kościół św. Anny nie doznał większych uszkodzeń, z wyjątkiem zarekwirowania dzwonów. Klasztor Ojców Karmelitów, który w 1934 r. został uznany za zabytek kultury, działał aż do przejścia władzy przez Sowieców. W październiku 1940 r. wypędzili oni mnichów z klasztoru urządzając w nim szkołę podoficerską. Po raz drugi karmelici, którzy na krótko wrócili do swojego domu w czasie okupacji niemieckiej, musieli opuścić Sądziowice w 1946 r. Zabierając z sobą przedmioty liturgiczne, główne relikwie i archiwa, wyjechali do klasztoru karmelitów w Krakowie.

Do 1958 r. w dawnym klasztorze mieściły się zarząd kolchozu, a następnie magazyny nawozów mineralnych. Kościół stał pusty, ograbiany z co cenniejszego wyposażenia, stopniowo tracąc dachówkę ulegał zniszczeniu. Dopiero po 1989 r., kiedy świątynię zwrócono wiernym, przeprowadzono pierwszy od lat remont. A w sierpniu 2011 r. do Sądziowic ponownie wrócili ojcowie karmelici, którzy kontynuują odbudowę świątyni i całego założenia klasztorowego. Prace konserwatorskie finansowane są ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej.

Obecnie budynki klasztorne znajdujące się na obrzeżach Sądziowic znów wyglądają schludnie i są zadbane, chociaż

cegłany obronny mur z czterema bastionami i rowem, zгодом фортифікації посилили земляним валом та збудували муrowану брану.

Від початку монастир належав до польської провінції ордену кармелітів босих, а у 1688 році був переданий до руської провінції святого Йосифа.

У 1649 році було проведено велику реконструкцію дерев'яного монастиря, збудовано двоповерховий корпус зі шпиталем, а до костелу прибудовано каплицю Матері Божої Святого Скапулярія. Другу каплицю святого Йосифа було добудовано 1710 року. На початку XVIII століття монастир ще двічі було перебудовано, обидва рази з дерева. Нарешті аж у 1742 році в обителі було зведено муrowані келії завдяки фундації литовського підстоля та жидачівського старости Францішка Боржецького. До початку XIX століття особливих змін на території монастиря, схоже, не відбувалося, принаймні історичні джерела про них не згадують. Аж у 1827 в костелі затіяли новий великий ремонт – тоді було оновлено фасад та внутрішні розписи, встановлено новий дах. Як на лихо, уже наступного року монастир охопила велика пожежа, яка пошкодила склепіння храму, три з семи вітарів та орган. Ще більше постраждали монастирські келії. Відбудова тривала більше п'ятнадцяти років.

У Першу світову війну костел святої Анни не зазнав особливих втрат, за винятком реквізованих дзвонів. Монастир отців кармелітів, який у 1934 році було визнано культурною пам'яткою, діяв до приходу радянської влади, яка у жовтні 1940-го вигнала ченців з кляштора, влаштувавши натомість в ньому військову школу старшин. Вдруге кармеліти, які ненадовго повернулися до своєї домівки під час німецької окупації, змушені були залишити Сусідовичі у 1946-му. Забравши з собою літургійні речі, основні святині та архіви, вони виїхали до кармелітського монастиря у Krakowie.

До 1958 року в колишньому монастирі розміщувались правління колгоспу, потім склади мінеральних добрив. Костел стояв порожнім, поступово втрачаючи дахівку та руйнуючись. Лише після того, як у 1989 році храм повернули вірянам, там було проведено ремонт. А у серпні 2011 року до монастиря в Сусідовичах знову повернулись отці-кармеліти, які продовжують



Przedwojenny widok klasztoru (fot. ks. Jacek Waligóra) / Вид на монастир до 1939 року



Widok na wyremontowany klasztor – w tej części zachowany w całości - i świątynię od strony południowej / Вид на відремонтований монастир - у цій частині повністю збережений - та храм з південної сторони

mają nieco inny wygląd niż w czasach sprzed II wojny światowej. Jego podstawę stanowi zabytkowy kościół św. Anny, składający się z dwuprzęsłowej nawy i jednoprzęsłowego prezbiterium z trójścienną absydą. Po obu stronach nawy dwa wysokie łuki prowadzą do bocznych kaplic. Kaplica Matki Bożej Szkaplerznej, położona po północnej stronie nawy, ma taką samą długość i wysokość jak ona, chociaż jest nieco węższa. Jej północna elewacja z dwoma oknami zakończona jest trójkątnym frontonem, nad którym zamontowano dwuspadowy dach. Podobną bryłę ma również dobudowana od strony południowej wąska kaplica św. Józefa. Mury prezbiterium, absydy i kaplicy św. Józefa są wzmocnione od zewnątrz za pomocą schodkowych skarp.

Ściany wnętrza kościoła pokryte są kilkoma warstwami nałożonych na siebie polichromii, które po kolei wykonano w XVII wieku, 2. połowie XVIII wieku, w roku 1863 i ostatnią warstwę w 1990 r. Sklepienie zdobi największe malowidło figuralne „Nadanie statutów mnichom karmelitom”.

Ołtarz główny świątyni został zrekonstruowany na początku lat 90. ubiegłego wieku. W jego centrum znajduje się cudowna płaskorzeźba św. Anny, która ponownie wróciła na swoje prawowite miejsce – tym razem w postaci poświęconej kopii wykonanej na zamówienie karmelitów w Krakowie. Oprócz ołtarza głównego jest jeszcze kilka bocznych, poświęconych Janowi Chrzycielowi, Jezusowi Ukrzyżowanemu, Matce Bożej Szkaplerznej, św. Józefowi, Przemienieniu Pańskiemu. Co ciekawe, kilka figur z tych ołtarzy za komuny zostało przeniesionych do Lwowskiej Galerii Sztuki, gdzie są przechowywane do dziś. Zdaniem specjalistów, rzeźby te są zbliżone do dzieł artystów Johanna Pinsla i Antoniego Osirskiego.

Dwukondygnacyjny gmach klasztorny skrywający cele mnichów tworzy jedną linię z elewacją kościoła. Przy tym jego południowe skrzydło znacznie wystaje względem głównej linii elewacji. Natomiast od strony tylnej skrzydło południowe jest skrócone, północne zaś rozciąga się na całą długość świątyni. Taka asymetria jest w dużej mierze konsekwencją przebudowy z lat 90. XX wieku, kiedy to większość południowego skrzydła nie została odbudowana, a jego resztki rozebrano. W pozostałej części budynków przeprowadzono również znaczne zmiany, w tym ponownie przebudowano sklepienia.

Obok świątyni stoi skromna dwukondygnacyjna murowana dzwonnica. Dokładny czas jej budowy nie jest znany, chociaż badacze przypuszczają, iż wzniesiono ją w połowie XVIII stulecia. ■



Murowana dzwonnica klasztorna / Церква на дзвіниця



We wnętrzu klasztoru trwają prace remontowe, w świątyni rekonstruuje się dawne wyposażenie / У внутрішніх приміщеннях монастиря тривають ремонтні роботи, у храмі реконструюється старе обладнання

wiідновлення храму та монастиря. Роботи з консервації виконуються на кошти Міністерства культури та національної спадщини Республіки Польща.

Нині монастирський комплекс на околиці Сусідович знову виглядає охайним та доглянутим, хоча й має дещо інший вигляд, ніж у дорадянський час. Його основу становить давній костел святої Анни, що складається з двопряслової нави та однопряслового пресвітерія з тригранною апсидою. З двох сторін нави дві високі арки ведуть до бічних каплиць.

Каплиця Матері Божої Святого Скапулярю, розміщена з північної сторони нави, рівна їй по довжині і висоті, хоча й дещо вужча. Її північний фасад з двома вікнами завершено трикутним фронтоном, над яким нависає двосхилий дах. Подібну структуру має й прибудована з південного боку нави вузька каплиця святого Йосифа. Мури пресвітерія, апсиди та каплиці святого Йосифа зовні посилено ступінчастими контрфорсами.

Інтер'єр костелу має кілька шарів накладених один на одного розписів, які по чергово було здійснено у XVII столітті, другій половині XVIII століття, у 1863-му та останній шар у 1990-х роках. Склепіння прикрашає розпис «Надання статутів ченцям кarmелітам».

Головний вівтар храму було реконструйовано на початку 1990-х років. У його центрі чудотворний барельєф святої Анни, який знову повернувся на своє законне місце – цього разу у вигляді освяченої копії, виконаній на замовлення кarmелітів у Кракові. Крім головного вівтаря, є ще кілька бічних, посвячених Івану Хрестителю, Ісусу Розп'ятому, Матері Божої Святого Скапулярю, святому Йосифу, Преображенню Господньому. Цікаво, що декілька фігур з цих вівтарів у радянський час було перевезено до Львівської галереї мистецтв, де вони зберігаються й донині. На думку фахівців, ці скульптури близькі до творів Йоганна Пінзеля та Антона Осинського.

Розчленовані пілястрами двоповерхові корпуси монастирських келій розташовані на одній лінії з фасадом костелу, немовби розширюючи його. При цьому його південне крило значно виступає вперед за основну лінію фасаду. Натомість з тильного боку південне крило є укороченим, тоді як північне простягається на всю довжину храму. Подібна асиметрія значною мірою є наслідком реконструкції 1990-х років, коли більша частина південного крила не була відновлена, а його рештки розібрані. У решті будівель також провели значні перепланування з перемурованням склепіння.

Поруч з храмом стоїть скromna двоярусна муrowana дзвіниця. Точний час її побудови невідомий, хоча дослідники припускають, що зведена вона була в середині XVIII століття. ■

Najstarszy drewniany w Bieszczadach

Найстаріший дерев'яний у Бещадах

Tradycja wiąże początek kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Średniej Wsi (gm. Lesko) z testamentem spisanim w 1621 r. przez podkomorzego sanockiego Piotra Bala, właściciela wsi. Nadmienia on w nim, że pragnie, aby jego żona Jadwiga także porzuciła kalwinizm i wybudowała katolicką kaplicę. Budowla pełniła w tym czasie funkcję zboru protestanckiego.

Ta nieduża i skromnie wyglądająca z zewnątrz wzniesiona z drewna modrzewiowego świątynia pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny we wsi Średnia Wieś (gm. Lesko) usytuowana jest na niedużym wzniesieniu, w centrum wsi, po południowej stronie drogi Hoczew-Polańczyk, w pobliżu dawnego założenia dworskiego.

Kościół powstał w 2. połowie XVI wieku jako kaplica dworska rodu Balów. Wprawdzie w testamencie spisanim w 1621 r. podkomorzy sanocki Piotr Bal zachęcał żonę Jadwigę do porzucenia kalwinizmu i wybudowania katolickiej kaplicy, to obecnie pismo to interpretuje się za konieczność ponownej restytucji w istniejącym obiekcie świątyni rzymskokatolickiej. Ale dopiero w 1697 r. kaplica została odzyskana przez łacinników. W 1727 r. z fundacji Katarzyny z Oraczewskich Balowej powstało całe - zachowane do dzisiaj - wyposażenie świątyni wykonane w dobrych warsztatach snycerskich w Krośnie oraz naścienna polichromia.

Kościół remontowano w latach 1959-1968, odrestaurowano wówczas malowidła ściennie, wykonano stolarkę okienną, a dach pokryto gontem. W latach 1983-1984 kościół uległ znacznej rozbudowie poprzez dobudowanie od strony północnej wieży, a w wyniku kolejnej inwestycji - w 1991 r. - powstała druga zakrystia po zachodniej stronie prezbiterium.



Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Średniej Wsi (gm. Lesko)

Jest to budowla nieorientowana (prezbiterium w kierunku na południe), konstrukcji zrębowej, zbudowana w tradycji późnogotyckich drewnianych kościołów małopolskich. Jednonawowa na rzucie prostokąta, z mniejszym, krótkim prezbiterium, zamkniętym trójbocznie z dwiema zakrystiami po bokach. Współczesna wieża konstrukcji słupowej z izbicą od frontu, o ścianach pochyłych, zwieńczona cebulastym hełmem blaszanym, z latarnią. Dach jednokalenicowy kryty gontem, z wieżyczką na sygnaturkę nad nawą, zwieńczoną kopulastym hełmem blaszanym. Wewnątrz znajdują się płaskie stropy. Chór muzyczny wsparty jest na dwóch słupach, które wykonano z pierwotnej belki tęczowej, zachowały się na nim jeszcze ślady łacińskiego napisu. Pod chórem przetrwały dwa - prowadzące do przedsionka pod wieżą - portale w kształcie osłego grzbietu, utrzymane



w późnogotyckim, XVI-wiecznym stylu ciesielskim. Podczas ostatniego remontu po ich bokach dodano dwa portale o identycznym kształcie. Na ścianach i stropie polichromia figuralna oraz iluzjonistyczna, w prezbiterium na ścianie malowane podziały architektoniczne, datowana na 1. połowę XVIII wieku. W późnobarokowym ołtarzu głównym obraz Matka Boża z Dzieciątkiem podającym Jej jabłko oraz dwa ołtarze boczne, z lewej strony widnieje obraz św. Stanisława Biskupa, z prawej św. Katarzyny - zespół datowany jest na 1. połowę XVIII wieku.

Mimo zabytkowego wyposażenia znajdziemy we wnętrzu także współczesne akcenty artystyczne: płaskorzeźbione stacje Drogi Krzyżowej zawieszane w nawie, podobnie jak i rzeźbę Ostatniej Wieczerzy w kruchcie, wykonał bieszczadzki zakapior, Jędrzej Wasielewski „Polonina”. ■



Widok na bryłę kościoła przed jego rozbudową, bez wieży i tylko z jedną zakrystią od wschodniej strony



Drewniany krucyfiks zawieszony pomiędzy dwoma portalami



Zespół późnobarokowych ołtarzy wykonany w krośnieńskich warsztatach snycerskich w 1727 r.



Świeżo odnowiony boczny ołtarz św. Katarzyny

Традиція пов'язує заснування костелу Успіння Пресвятої Богородиці в Середньому Селі (гміна Лісько) із заповітом, що його 1621 року написав саноцький підкоморій Петро Бал, власник села. У ньому він пише, що бажає, щоби його дружина Ядвіґа також відмовилася від кальвінізму та побудувала католицьку каплицю. У той час будівля використовувалася як протестантський собор.

Костел було зведено у 2-й половині XVI століття як придворну каплицю роду Балів. Хоча в заповіті, написаному 1621 року, саноцький підкоморій Петро Бал закликає дружину Ядвіґу відмовитися від кальвінізму та побудувати католицьку каплицю, нині цей лист трактується як заклик повернення вже наявного об'єкту Римо-католицькій церкві. Але лише 1697 року каплицю було повернено католикам. 1727 року на кошти Катажини Бали з роду



Balustradę chóru muzycznego, wspartego na słupach, ozdabiają malowane instrumenty muzyczne

Barbara Losowska-Dudek WUOZ Krosno (4)

Орачевських був створений, що зберігся й донині, інтер'єр храму, елементи якого було виготовлено в сницарських майстернях у Коросні, а також настінна поліхромія. У 1983–1984 роках костел значно розширився через прибудування з північного

боку вежі, а в наслідок чергової перебудови, 1991 року, на західному боці пресвітерія було утворено ризницю.

Ця прямокутна в плані споруда, з малим пресвітерієм, закритим із трьох боків, з двома ризницями по боках. Сучасна вежа стовпвої конструкції з ізбицею попереду, з похилими стінами, увінчана цибульної форми металевим куполом, з ліхтарем. Всередині під хорами збереглися два, що ведуть до присінків під вежею, портали у формі осялячого хребта, створені в пізньоготичному, теслярському стилі XVI століття. Під час останнього ремонту по їхніх боках було додано ще два портали ідентичної форми. На стінах і стелі фігурна та ілюзійністська поліхромія, у пресвітерії розписані архітектурні елементи, датовані 1-ою половиною XVIII століття. У пізньобарочному головному вітарі образ Богоматері з Немовлям, що подає їй яблуко, і два бічні вітари, ліворуч ми бачимо образ св. єпископа Станіслава, праворуч — св. Катерини — ансамбль датується 1-ою половиною XVIII століття.

Попри історичні інтер'єри, ми знайдемо всередині костелу також сучасні художні акценти: барельєфи зупинок Хресного шляху, що висять у нефі, а також скульптуру Останньої вечери на паперті, що їх створив бещадський опишок Єндрек Васелевський за призьвськом Полонина. ■



Wiesław Mujras (2)



Na stopnie nad prezbiterium polichromia figuralna: po lewej przed i po prawej po zakończeniu prac konserwatorskich

W świecie Romana Kumłyka

Małą, niepozorną chatką na szczycie wzgórza w dzisiejszej Wierchowynie, dawnym Żabim wypełnia unikalna atmosfera. To świat Romana Kumłyka i jednocześnie świat zanikających już w dzisiejszej rzeczywistości unikalnej tradycji muzycznej. Niewielkie pomieszczenie na piętrze wypełniają skarby przeszłości. To instrumenty regionu Huculszczyzny, zgromadzone i ocalone przed zaginięciem w niepamięci.

Zmarły w roku 2014 Roman Kumłyk przeszedł do historii jako największy z muzyków współczesnej Huculszczyzny. Był wirtuozem w swoim fachu, multiinstrumentalistą, który wskrzesił muzyczną tradycję na Huculszczyźnie i pomógł promować ją w nowoczesnej formie. Koncerty Romana Kumłyka i jego zespołu „Czeremosz” zasłynęły na całym świecie, w tym w Polsce, którą często odwiedzał, od lat 90. ubiegłego wieku. Współpracował między innymi z Filharmonią Lubelską i Warszawską, Ośrodkiem Praktyk Teatralnych Gardzienice. Przyjaźnił się z Orkiestrą Świętego Mikołaja w Lublinie, był częstym gościem na Festiwalu „Mikołajki Folkowe”.

Jak sam mówił: *ekspozaty zbierałem przez 25 lat. Są w nim stroje, hafty, różnorodne rzemiosło, narzędzia, dokumenty, wydawnictwa o Huculszczyźnie - Włodzimierz Szuchiewicz, Oskar Kolberg, Stanisław Mierczyński, Stanisław Vincenz. Wreszcie instrumenty ludowe, od trombity do drumli. Są wśród nich dudy, flety, 8 przeróżnie zdobionych cymbałów - najstarsze mają 150 lat, najmłodsze 50, jest 24 skrzypiec, bębny”.*

Artysta poświęcił życie nie tylko gromadzeniu dorobku materialnego kultury muzycznej Huculszczyzny, ale także dokumentacji bardziej ulotnej i nieuchwytną tradycji – samej muzyki. Przez lata spisywał melodie, uczył się je odtwarzać na gromadzonych i wykonywanych przez siebie własnoręcznie instrumentach. Był samoukiem, ale niewątpliwie mistrzem w swoim fachu, który



Roman Kumłyk na tle części swoich zbiorów w domu w Wierchowynie

ocalił niematerialne dziedzictwo swojej małej ojczyzny od zapomnienia i dał mu nowe życie – w postaci licznych wykonanych koncertów, nowych aranżacji, płyt muzycznych.

Obecnie dziedzictwo Romana Kumłyka przejęła jego córka, choć za życia nie przypuszczał on, że jedna z dwóch dobrze zapowiadających się studentek medycyny przejmie odpowiedzialność za dalsze losy

huculskiej tradycji muzycznej. Natalia Kumłyk odziedziczyła talent po ojcu. Opanowała bezbłędnie grę na instrumentach i jak ojciec, wszystkiego nauczyła się sama. W małym muzeum urządzonym w Wierchowynie organizuje obecnie warsztaty muzyczne prezentując technikę gry, opowiadając o tradycjach towarzyszących muzyce. Bo muzyka była integralną częścią życia Huculów.





Pierwszym istotnym kontekstem w jakim zostaje przywołana są obrzędy weselne. Roman Kumłyk – sam grający poza „Czeremoszem” w kapeli weselnej – opowiadał: *muzykanci weselni muszą być dobrze zorientowani w melodiach obowiązujących w każdej wsi, szczególnie w repertuarze obrzędowym. Pewnego razu skrzypek, który mnie zastępował, nie znał zakarpackich melodii zastolnych - był problem. W Werchowynie śpiewom akompaniuje sopilka, bajan (akordeon guzikowy) i skrzypce, a na Zakarpaciu musi grać cała kapela. Gramy, a tu nikt nie śpiewa. Ja nawet wiem, za jakimi melodiami weselnicy na Zakarpaciu lubią śpiewać, a jakich nie lubią. Wesela to ciężka praca. Na wesele zespół stawia się w sobotę około jedenastej rano. Muzycy zaczynają od przygrywania przy ubieraniu „sosnowieńskiego dereweczka” - różgi weselnej, część z nas w tym samym czasie montuje nagłośnienie. Potem cała kapela towarzyszy młodemu w drodze do urzędu stanu cywilnego. Po powrocie rozpoczyna się zabawa, a goście schodzą się nawet do dziesiątej wieczorem. Impreza czasem trwa do rana. Po kilku godzinach odpoczynku zespół bierze udział w orszaku weselnym do cerkwi i znów do poniedziałkowego poranka.”*

Innym przywoływanym przez artystę zwyczajem był zwyczaj kołędowania. Jak

każdy Hucul byłem kołędnikiem, w tym pięć lat bieżą w dziecięcej grupie kołędniczej. Byłem wybierany na przewodnika śpiewów, bo już od dziecka znałem bardzo dużo pieśni. Nie sprawiało mi kłopotu zapamiętanie nawet stu dwudziestu jeden zwrotek piosenki o Oleksie Doboszu. „Ojczy Nasz” jeszcze nie znałem, a o Doboszu umiałem zaśpiewać. Podobno za stołami wujek grał, a mnie trzymano na rękach, żeby było lepiej słyszać, jak śpiewam”.

Nie można też nie wspomnieć, jak ważną rolę odgrywała muzyka w obrzędach magicznych towarzyszących życiu spędzanemu tradycyjnie na poloninach podczas półrocznego sezonu wypasu. Konkretne dźwięki instrumentów sygnalizacyjnych, rogów pasterskich, trombit, fujarek zaznaczały czas szczególny, czas przejścia. Obwieszczały nadejście świtu, nastanie wiosny po długiej zimie, towarzyszyły narodzinom człowieka, a także żegnały go przy ceremoniach pogrzebowych... Według starej zasady magicznej hałas, kakofonia dźwięków odstrasza złe siły. Wszelkie zabiegi magiczne, na wpół czerpiące z tradycji chrześcijańskiej, na wpół przywołując echa dawniejszych - pogańskich jeszcze - sił i bóstw władających przyrodą i ludzkim losem, miały za zadanie ochronę zdrowia i życia ludzi.

Wychodzący na przełomie kwietnia i maja na poloniny pochod zwierząt i pasterzy zaczynający sezon wypasu był szczególnie narażony na ataki „złego”. Nie tylko prowadził w groźne góry, pełne niebezpiecznych skał, urwisk skalnych, jak i groźnych zwierząt, ale i w przestrzeń niebezpieczną, nieoswojoną, gdzie w skalnych zakamarkach czaiły się dawne, groźne siły, zło...

Wymarsz odbywał się przy akompaniencie dźwięków wydawanych przez najróżniejsze instrumenty dęte, pieśni, pokrzykiwań, głosów ludzi i zwierząt mieszających się ze sobą. Zło musiało odejść, aby zapewnić nadchodzącym bezpieczny sezon w górach.

Najbardziej kojarzonym z Huculszczyzną instrumentem sygnalizacyjnym jest trombita. Jej pochodzenie nie jest do końca znane. Przywędrowała zapewne z Azji, gdzie również spotyka się jej odmiany na przykład towarzyszące swoim głębokim dźwiękiem obrzędom w klasztorach buddyjskich. Odgłos trombity powinien być donośny, przypominać dźwięki gromu, szelest lasu, szum bystrego górskiego strumienia. Huculska trombita jest wyjątkowo lekka choć mierzy blisko cztery metry. Tradycyjnie powinna być wykonana z dwóch gatunków drewna. Główny trzon ze *smreki* - suchego świerka. Następnie wydrążony trzon owijano pasami z kory brzozy zbieranej na wiosnę. Aby trombita była gotowa do gry musi być odpowiednio nawilżona. W tym celu namaczano ustnik wodą, ale także „pojono” wódką...

Dzięki takim ludziom jak Roman Kumłyk, jego córka Natalia oraz wielu innych kontynuujących jego dzieło muzyków tradycja muzyczna Huculszczyzny będzie trwać. I choć obecnie miesza się, jak wszystko, po trochu z „ukraińskim disco”, po trochu zaś z zachodnim popem, to jednak dalej pozostaje żywa.

Wszystkie cytaty pochodzą z wywiadu z Romanem Kumłykiem opublikowanym w „Piśmie Folkowym” nr.110/111: <https://pismofolkowe.pl/artukul/huculska-muzykarnie-zaginie-4397> ■



Córka Romana Kumłyka, Natalia, prezentuje grę na trombicie huculskiej



Andrzej Błoniński (8)

Drapieżne chrząszcze z „Czerwonej listy”

Przyroda Karpat odznacza się wysoką różnorodnością biologiczną, dlatego obszar ten odgrywa bardzo istotną rolę w ochronie różnych typów siedlisk przyrodniczych oraz wielu gatunków roślin i zwierząt. Wśród owadów występujących w Karpatach bardzo ciekawą grupę stanowią chrząszcze, wśród których stwierdzono około 100 gatunków endemicznych, czyli występujących tylko na tym terenie.

Biegacz urozmaicony (*Carabus variolosus* F.) i biegacz Zawadzkiego (*Carabus zawadzki* Kratz) to rzadko spotykane gatunki drapieżnych chrząszczy z rodziny biegaczowatych (Carabidae). W Polsce objęte są ochroną ścisłą, a ponadto zostały wpisane do II i IV załącznika Dyrektywy Siedliskowej UE. Biegacz Zawadzkiego umieszczony został również na „Czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych w Polsce” z kategorią DD (brak danych).

Biegacz urozmaicony

znany jest ze środkowej i południowo-wschodniej Europy. W Polsce występuje przede wszystkim w Karpatach i Sudetach oraz na ich pogórzach. Rozproszone stanowiska znane są również z: Niziny Sandomierskiej, Wyżyny Lubelskiej, Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej i Górnego Śląska. Jest gatunkiem leśnym, bardzo silnie związanym ze środowiskiem wodnym. Zamieszkuje porośnięte roślinnością brzegi potoków i innych cieków wodnych oraz bagna i torfowiska. Preferuje górskie strumienie z dobrze natlenioną wodą, których dno i brzegi pokryte są kamieniami. Jest organizmem bardzo wrażliwym na zanieczyszczenia wód, dlatego w niektórych krajach traktowany jest jako wskaźnik ich czystości.

Postacie dorosłe tego biegacza posiadają czarne zabarwienie z delikatnym metalicznym połyskiem. Osiągają długość do 3 cm, przy czym samice są zwykle nieco większe od samców. Dymorfizm płciowy przejawia się ponadto w kształcie stóp przedniej pary



Biegacz urozmaicony

nóg, które u samców są szersze niż u samic. Najbardziej charakterystyczną cechą postaci dorosłych biegacza urozmaiconego jest wygląd pokryw, na powierzchni których znajdują się duże i głębokie zagłębienia oddzielone od siebie podłużnymi guzkami. Cecha ta sprawia, że ten gatunek jest stosunkowo łatwy do odróżnienia od innych krajowych przedstawicieli rodzaju *Carabus*. Chrząszcze spotykane w terenie są najczęściej pokryte warstwą zaschniętego błota lub mułu, co jest przykładem bardzo skutecznego kamuflażu. Zaniepokojone bronią się wydzielając substancję o nieprzyjemnym zapachu.

Cykl rozwojowy tego chrząszcza zamyka się w czasie jednego roku. Na wiosnę, po przezimowaniu, postacie dorosłe przystępują do rozmnażania, a zapłodnione samice składają jaja do wilgotnej gleby, w niewielkiej odległości od wody. Larwy i postacie dorosłe prowadzą drapieżny tryb życia polując na różne wodne bezkręgowce (owady, dzżdżownice, ślimaki) oraz kijanki i małe ryby. Znane są również przypadki żerowania na padlinie. Dorosłe chrząszcze potrafią polować pod wodą wytrzymując bez wynurzenia nawet do 30 min. Późnym latem, po zakończeniu żerowania, larwy przepoczwarczają



Larwa biegacza urozmaiconego



Poczwarka biegacza urozmaiconego



Biegacz urozmaicony polujący pod wodą



Obszar Natura 2000 Patria nad Odrzechową, miejsce występowanie biegacza urozmaiconego

się w kolebkach zbudowanych w zmuszonym drewnie zalegającym na brzegach wód lub w kolebkach wykonanych w glebie. Po kilku tygodniach pojawiają się młode chrząszcze, które pozostają w kolebkach do wiosny następnego roku.

Najbardziej istotne zagrożenia dla populacji biegacza urozmaiconego to: osuszenie terenów podmokłych, zanieczyszczanie wód, regulacje cieków lub naruszanie ich struktury w efekcie prac leśnych (np. przy zrywce drewna), a także usuwanie martwego drewna z bezpośredniego otoczenia potoków i innych wilgotnych miejsc.

Biegacz Zawadzkiego

zaliczany jest do endemitów wschodniokarpaccich. Znany jest z gór i pogórzy: Polski, Słowacji, Węgier i Ukrainy. W Polsce jest chrząszczem bardzo rzadko spotykanym, o zasięgu ograniczonym do południowo-wschodniej części kraju. Obserwowany był dotychczas na terenie: Bieszczadów, Beskidu Niskiego, Pogórzy (Dynowskiego, Przemyskiego, Strzyżowskiego), Gór Słonnych i Niziny Sandomierskiej.

W odróżnieniu od biegacza urozmaiconego jest gatunkiem o bardzo słabo rozpoznanych właściwościach ekologicznych. Spotykany był zarówno w miejscach zacienionych i wilgotnych (w górskich i podgór-

dr inż. Tomasz Olbrycht – entomolog, adiunkt w Zakładzie Agroekologii Kolegium Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Rzeszowskiego. Specjalista z zakresu ochrony roślin oraz ekologii chrząszczy saproksylicznych (związanych z martwym drewnem). Autor kilkudziesięciu publikacji naukowych z zakresu entomologii i architektury krajobrazu.

skich lasach) oraz na terenach otwartych np. na bieszczadzkich połoninach.

Postacie dorosłe dorastają do długości ponad 3 cm. Ich ciało ma barwę czarną

z metalicznym połyskiem w kolorze niebieskim, zielonym lub miedzianym, dobrze widocznym zwłaszcza na brzegach pokryw i przedplecza. Na powierzchni pokryw występują rzędy punktów tworzące rowki oraz cztery rzędy płytkich dołków. Cecha ta pozwala na odróżnienie biegacza Zawadzkiego od innych, podobnych gatunków z rodzaju *Carabus* np. od rzadko spotykanego w kraju biegacza Scheidlera (*Carabus scheidleri*) czy pospolitego biegacza fioletowego (*Carabus violaceus*).

Cykl rozwojowy trwa przypuszczalnie jeden rok, a postacie dorosłe zimują w kolebkach wykonanych w glebie lub w zmuszonym drewnie kłód i pniaków. Chrząszcze są aktywne przez całą dobę, a ich pokarm stanowią prawdopodobnie różne drobne bezkręgowce.

W związku z tym, że wiedza na temat wymagań biegacza Zawadzkiego jest wysoce niepełna trudno określić zagrożenia dla jego populacji. Dlatego konieczne jest prowadzenie dalszych badań, które pozwolą na dokładniejsze poznanie jego biologii, preferencji siedliskowych oraz obszaru występowania. ■



Biegacz Zawadzkiego

Tomasz Olbrycht (6)

Bibliografia:

- Buchholz L., Kuberski Ł., Michalski R., Melke A., Olbrycht T. 2013. Chrząszcze *Coleoptera* z załącznika II Dyrektywy Siedliskowej na obszarze projektowanego Turnickiego Parku Narodowego i w jego okolicach. *Roczniki Bieszczadzkie*, 21: 297-317.
- Kubisz D. 2004a. Biegacz urozmaicony: 75-78. W: Adamski P., Bartel R., Bereszyński A., Kepel A., Witkowski Z. (red.). *Gatunki Zwierząt (z wyjątkiem ptaków)*. Poradniki ochrony siedlisk i gatunków Natura 2000 – podręcznik metodyczny. Ministerstwo Środowiska, Warszawa. T. 6, 500 ss.
- Kubisz D. 2004b. Biegacz Zawadzkiego: 79-81. W: Adamski P., Bartel R., Bereszyński A., Kepel A., Witkowski Z. (red.). *Gatunki Zwierząt (z wyjątkiem*

ptaków). Poradniki ochrony siedlisk i gatunków Natura 2000 – podręcznik metodyczny. Ministerstwo Środowiska, Warszawa. T. 6, 500 ss.

Olbrycht T. 2005. Występowanie chrząszczy z rodzaju *Carabus* (*Col.*, *Carabidae*) na terenie Podkarpacia. *Zeszyty Naukowe Południowo-Wschodniego Oddziału Polskiego Towarzystwa Inżynierii Ekologicznej z siedzibą w Rzeszowie i Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego Oddział w Rzeszowie*, 6: 71-76.

Stachowiak M. 2012. 4014 Biegacz urozmaicony *Carabus (Hygrocarabus) variolosus* Fabricius, 1787. W: Makomaska-Juchiewicz M., Baran P. (red.). *Monitoring gatunków zwierząt. Przewodnik metodyczny. Część II. GIOŚ, Warszawa: 310-327.*

Serfując po „internetowych” Karpatach

Uruchomienie strony internetowej www.kulturakarpat.eu to jedno z ważnych działań realizowanego przez Stowarzyszenie „Pro Carpathia” wraz z 10 partnerami projektu „Świat karpaccich rozet - działania na rzecz zachowania kulturowej unikalności Karpat” finansowanego ze środków Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020. Jej celem jest przede wszystkim promowanie kulturowego i historycznego dziedzictwa tych gór.

Za pośrednictwem strony upowszechniona zostanie wiedza z zakresu regionalnych tradycji, praktyk i rękodzielniczych umiejętności. Wraz z ciągłym dodawaniem nowych postów stanie się ona potężnym źródłem wiedzy na ten temat. Strona jest sukcesywnie uzupełniana przez wszystkich polskich i ukraińskich partnerów realizujących projekt. Zamieszczane są na niej informacje i materiały w postaci różnych multimediów, które są zgromadzone od ludzi związanych z dziedzictwem kulturowym tego obszaru. Sprzyjają temu organizowane licznie warsztaty rzemieślnicze oraz wyprawy o charakterze etnograficzno-kulturowym na terenie pogranicza polsko-ukraińskiego.

Pod względem technicznym stroną zaprojektowano i wdrażano z zachowaniem intuicyjnej nawigacji i dynamiczności. Jest ona dostępna w trzech wersjach językowych (polskim, ukraińskim i angielskim). Spełnia również wszystkie wymagania dotyczące jej funkcjonalności - jest ona w pełni responsywna, czyli posiada wygląd i układ dopasowujący się automatycznie do rozmiaru okna przeglądarki urządzenia, na której jest wyświetlany. Jest dostosowana dla potrzeb osób niepełnosprawnych, w tym osób niedowidzących. Interfejs użytkownika jest bardzo przyjazny. Duża intuicyjność i spójność struktury pozwala odwiedzającym czuć się swobodnie podczas serfowania na stronie. Posty opracowywane są w taki sposób, aby przykuwać uwagę odbiorców.

Układ głównej strony został utworzony tak, aby jej poszczególne elementy były ze sobą ściśle powiązane. Został on po-



Górna część strony internetowej www.kulturakarpat.eu

dzielony na kilka modułów: rotator zdjęć, aktualności, mapa Karpat oraz blok wybranych działów z obszaru dziedzictwa kulturowego. Szczególną uwagę zwraca sekcja zawierająca interaktywną mapę Karpat. Dużym jej walorem jest odwzorowanie ukształtowania powierzchni całych Karpat wraz z ich podziałem. Wzmacnia ona całościowo przejrzystość projektu, ponieważ gwarantuje swobodę w poruszaniu się użytkowników tylko po wybranym przez nich regionie Karpat.

Dążono do dołożenia starań, aby strona ukazała fascynujące dziedzictwo Karpat oraz była okazją, aby zatrzymać się na dłużej w „Świecie karpaccich rozet”. ■

Za pośrednictwem internetowej strony www.kulturakarpat.eu będącymi połączonymi źródłami wiedzy o regionalnych tradycjach, praktykach i rzemieślniczych umiejętnościach. Dzięki ciągłemu publikowaniu nowych postów ona stanie się potężnym źródłem wiedzy o tej tematyce.

Internetowa strona jest stale aktualizowana i uzupełniana o nowe treści. Jest ona dostępna w trzech wersjach językowych (polskim, ukraińskim i angielskim). Spełnia również wszystkie wymagania dotyczące jej funkcjonalności - jest ona w pełni responsywna, czyli posiada wygląd i układ dopasowujący się automatycznie do rozmiaru okna przeglądarki urządzenia, na której jest wyświetlany. Jest dostosowana dla potrzeb osób niepełnosprawnych, w tym osób niedowidzących. Interfejs użytkownika jest bardzo przyjazny. Duża intuicyjność i spójność struktury pozwala odwiedzającym czuć się swobodnie podczas serfowania na stronie. Posty opracowywane są w taki sposób, aby przykuwać uwagę odbiorców.

Układ głównej strony został utworzony tak, aby jej poszczególne elementy były ze sobą ściśle powiązane. Został on po-



kulturakarpat.eu
carpathianculture.eu
ua.carpathianculture.eu

Andrzej Potocki

Frasobliwe świątkowanie

Zofia Roś (1912-1995) z Bachlawy koło Leska była ostatnią autentyczną rzeźbiarką ludową w Bieszczadach. Wystrugała z wierzbowego drewna może nawet więcej niż sto świątków i jednego diabła.

We wsi rodzina wstydziła się niepełnosprawnego dziecka. Najlepiej jakby umarło. Ale ona chciała żyć pomimo kalectwa, z jakim przyszła na świat. Trzymali ją w domu, prawie w ukryciu. Nie posłali do szkoły, bo po co takiej kalece nauka. Do szkoły był spory kawałek drogi, to niby jak ona miała zająć swoimi szpotawymi stopami. A skąd buty na takie nogi. Kiedy miała już kilkanaście lat, wysłali ją do pasienia krowy. Ręce miała zdrowe. Wtedy na pastwisku z nudów zaczęła strugać ptaszki z patyków. Rozdawała je dzieciom. Potem też strugała i rozdawała.

Siostra wyszła za męża, ale niedługo po ślubie zmarła. W chałupie został siostrzany mąż. Za jakiś czas Rosiowa urodziła córkę. Wychowała ją. On jej pomagał i został na stałe. Ślubu nie brali. Miała 65 lat, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy.

Zdzisław Pękalski, nauczyciel z Hoczwi, już wtedy mój przyjaciel, pokazał mi kilka ptaszek Zofii Rosiowej z Bachlawy. Przynieśli mu je uczniowie. Powiedzieli, że taka babcia je rzeźbi. Namówił mnie na wyjazd do Bachlawy. Przed domem stała kapliczka, a w niej figura Matki Boskiej w zielonościach i czerwieni. Rozmawiamy z obcą nam kobietą. Tak, tę figurkę do kapliczki ona wyrzeźbiła i pomalowała. Ptaszki też rzeźbi. I makatki wyszywa. Pokaże.

Wiejska chata, biedniacka. Nie ma sieni. Z pola wchodzi się wprost do kuchni, której niemal połowę zajmuje piec kuchenny. Małe okienko powoduje, że

jest w niej półmrok. Ona siedzi na ławie koło kuchni. Na podłodze kawałki drewna, którymi pali. Wstaje z ławy, żeby zaprowadzić nas do izby. Wstaje i wspiera się na stołku, który przesuwają przed sobą i za nim sama posuwa się krok do przodu. Stołek i krok do przodu. Do tej pory nie wiedzieliśmy, że jej kalectwo jest tak ogromne. Długo rozmawiamy. Na odchodnym mówię do niej:

- Pani Rosiowa, niech pani rzeźbi figurki, nie ptaszki.

Pyta, jakie figurki.

- Matkę Boską, Frasobliwego albo Pietę - mówię.

Nie wie, co to jest Pieta. Tłumaczę. Obiecuje wyrzeźbić. Umawiamy się, że wrócę tu za miesiąc. Pękalski pyta, czym rzeźbi. Pokazuje jakiś nożyk. Zdżicho obiecuje dostarczyć jej jakieś lepsze narzędzia i drewno lipowe. Babcia mówi, że drewno lipowe nie. Będzie rzeźbić w wierzbie. Wierzbowymi kawałkami pali pod kuchnią. On jej znajdzie lepsze kawałki. On, to znaczy ten siostry, ale teraz już jej. Zawsze będzie o nim mówiła „On”. Potem okazało się, że dłuta nie wchodzi w rachubę, tylko nożyki. Ma nowe, ostre nożyki i osekłkę do ich ostrzenia - wszystko od Pękalskiego.

Jadę ponownie do babci Rosiowej, bo tak ją zacząłem nazywać, chyba po dwóch miesiącach. Ma Chrystusa, co poszedł pomiędzy ludzi jako żebrak. Jedni go wyganiali precz, nieliczni zapraszali



Zofia Roś

Andrzej Potocki (4)

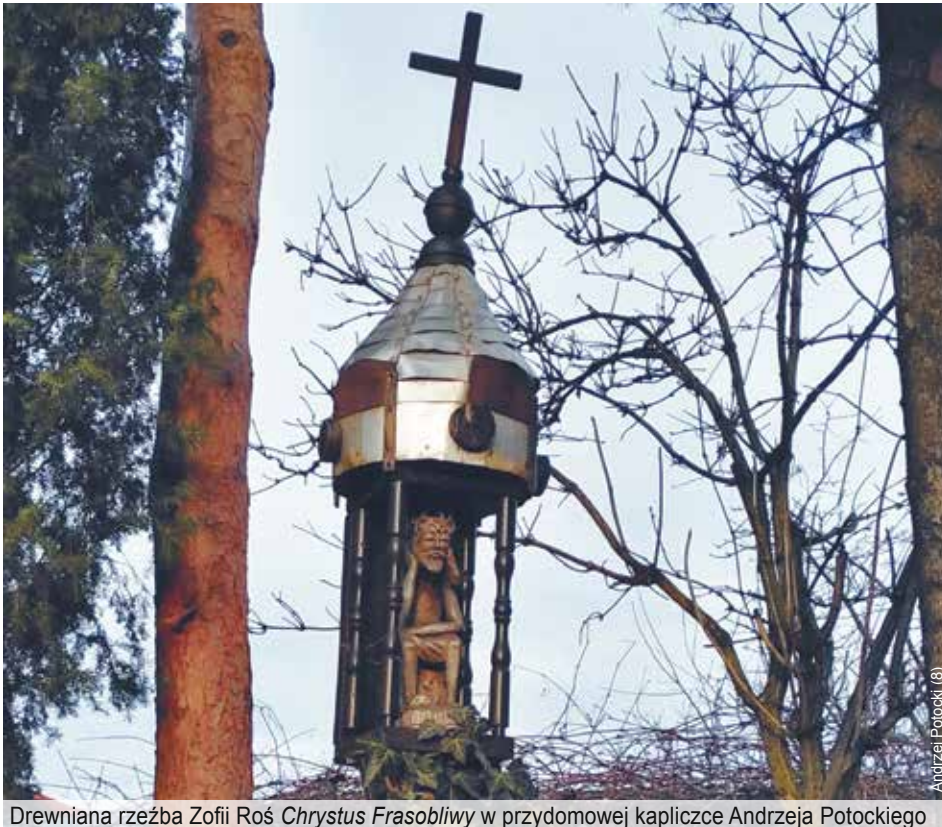
do stołu, dawali kawałek chleba do żebraczego tobołka. Chrystus idący po prośbie to więcej niż motyw zaczerpnięty z ludowych podań, to wspomnienie jej niedostatku z dzieciństwa i młodości, tego niedostatku, jaki był w jej rodzinie, ale także w całych Bieszczadach. Dla niej Bieszczady nie miały nic z egzotyki. Chrystus idący po prośbie nie ma nic z ołtarzowego majestatu, jest przygnębiony jak każdy głodny proszący o wsparcie. Rosiowa miała w sobie wiele wyobraźni i odwagi, by uczynić Go tak bardzo ludzkim.

Mówi, że zaczęła robić Pietę. Ale nie wie, kiedy skończy. Pytam, ile za tego Chrystusa. Nie wie. Mnie każe zdecydować. Daję dwieście złotych, stać mnie, jestem przecież dyrektorem Bieszczadzkiego Domu Kultury w Lesku. To są jej pierwsze w życiu zarobione pieniądze. Dwieście złotych za kawałek wierzbowego klocka, takiego, jakim pali pod kuchnią.

Jeżdżę systematycznie, zamawiam i kupuję. Pietę, Mojżesz, Chrystus z krzyżem, Frasobliwy... Znów nic z majestatu, raczej chłopski filozof tajemniczo uśmiechający się. Do mojego tomiku wierszy „Madonny bieszczadzkie” dopisuję „Pietę Rosiowej”:



Prace Zofii Roś, od lewej: *Frasobliwy* - pierwsza rzeźba postaciowa, *Pieta*, *Chrystus chodzący po prośbie*



Drewniana rzeźba Zofii Roś Chrystus Frasobliwy w przydomowej kapliczce Andrzeja Potockiego

ka razy była w kościółku w Średniej Wsi i widziała tam rzeźby przy ołtarzu. Były ładne. Jej, jak sama mówi, trochę koślawe. Oczywiście stara się, bardzo się stara. Ale narzędzia, jakimi się posługuje, wierzbowe zadziome kłocki i ograniczenia manualne nie pozwalają na więcej. Zresztą nie ma takiej potrzeby.

Przełamanie nastąpiło w 1979 r. Kilkanaście rzeźb, jakie wystawiliśmy w galerii w synagodze, zostały zakupione jednego dnia. Nabywcą była grupa etnografów z Uniwersytetu Warszawskiego. Zawiozłem babci Rosiowej pieniądze za nie. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, a ja wykladałem na niego banknoty. Tysiąc, dwa... sześć tysięcy i sto złotych. Takich pieniędzy nikt nigdy nie miał w jej rodzinie. To były czteromiesięczne pobory jej córki. Blask oczu babci Rosiowej można porównać tylko z blaskiem gwiazd. Ja nigdy wcześniej nie widziałem tak śmiejących się oczu. Całe życie była nawet nie kopciuszkiem tylko kopciuchem i wreszcie po 67 latach jest księżniczką. Uwierzyła, że obaj z Pękalskim mieliśmy rację mówiąc, że jej wierzbowe figurki są wspaniałe.

Wkrótce nastąpił kolejny przełom. Szkolna koleżanka mojej żony Barbary, Barbara Dietz, absolwentka etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim, mieszkająca w USA, podczas jednego z pobytów w Polsce odwiedziła nasz dom i zachwycała się kolekcją rzeźb Zofii Rosiowej. Jej brat Grzegorz Michniowski, lekarz, ordynował raz w tygodniu w Polańczyku, dokąd dojeżdżał z Sanoka. Pojechałem z Grzegorzem do Rosiowej i on złożył zamówienie. Na wszystko. Chyba przez trzy lata nic nie udało mi się kupić u babci, bo wszystko zabierał doktor. Płacił w dolarach. Dwadzieścia dolarów to była prawie moja miesięczna pensja. Taka była wtedy Polska. Doktor kupował i leczył bab-



Zofia Roś, drewniana rzeźba anioła

PIETA ROSIOWEJ

*Wystrugana z polana
rosochatej wierzby
Pełna boleści po stracie Syna
którego doczesne szczątki
zdjęte z krzyża
trzyma w swoich ramionach
jak trzymała Go kiedyś
dzieciątko jeszcze*

*A teraz jak każda matka
po stracie syna
pyta
- dlaczego ją właśnie
spotkało takie nieszczęście*

*I ani Jej
ani żadnej z matek
opłakujących śmierć syna
nie mówcie słów pocieszenia
bo takich słów nie ma*

*Madonna Rosiowej
jest najbardziej polska
bo bolesna
wierzbowa
i chłopska*

Na rok 1978 planuję w leskiej synagodze utworzyć bieszczadzką galerię sztuki. Namawiam babcię Rosiową, żeby zrobiła na wystawę kilkanaście rzeźb, powtarzając opracowane już motywy Frasobliwego, Piety, Madonny z Dzieciątkiem, aniołów... Obiecuję, że zrobi. Zrobiła. Urzekają pomimo chropowatej wierzbowej cery. Pytam, po ile sprzedawać. Każę mnie je wycenić. Wyceniam wcale nietanio.

Już wiem, że to jest autentyczna sztuka ludowa. Nie jakaś podróbka. To wszystko mieści się w klasycznej definicji sztuki ludowej. To nieprawda, że sztuka ludowa przeszła do historii i zakończyła swój żywot w okresie międzywojennym. Przygotowuję folder omawiający jej twórczość i prezentujący kilka jej prac. W folderze napisałem:

Rosiowa nie zaistniała w wyniku współczesnego zapotrzebowania na sztukę ludową, rzeźbiła zawsze niezależnie od popytu. Ułomna fizycznie, nieumiejąca pisać i czytać, wyizolowana z wiejskiej społeczności, niemal od dziecka tworzyła własny świat wartości i wyobrażeń. Drewniane figurki, a wcześniej ptaszki zawdzięczają powstanie długim godzinom samotności, na jaką została skazana. Przykuta do swojej zagrody nigdy nie była w mieście, nie zna nawet okolicznych wsi. Jej osobista tragedia zdecydowała o świadomości twórczej.

Figurki Rosiowej są ściśle związane z podaniami ludowymi, z obrzędowością i religią, z pracą, z tym wszystkim, co składało się na ludową kulturę przedwojennej bieszczadzkiej wsi. Najważniejszym atrybutem ludowości Zofii Rosiowej jest jej świadomość czerpiąca z naturalnego źródła tradycji. Rosiowa nie goni za bieszczadzkością swoich rzeźb, nie sili się na udawaną oryginalność. Jest daleka od współczesnego rozumienia zapotrzebowania na ludowość, wierzy, że jej świątki gdzieś tam u kogoś spełniają funkcje kultowo-religijne.

Jeden z nich Chrystus Frasobliwy - trafił do mojej przydomowej kapliczki.

Nie do końca wierzyła moim i Pękalskiego zapewnieniom, że jej rzeźby są niezwykle. Kil-



Drewniane rzeźby wykonane przez Zofię Roś, od lewej: *Chrystus z krzyżem*, *Madonna z Dzieciątkiem*, *Paś owce moje*

cię w razie potrzeby. Kolekcja Basi Dietz w USA liczy około 30 figurek Rosiowej. Dzięki tym dolarom udało się wyremontować ten biedniacki dom w Bachlawie. Ja mam tylko, a może aż 17 jej rzeźb.

Kiedy nadeszła moja kolej poprosiłem Rosiową, żeby wyrzeźbiła mi diabła. Chciałem przekonać się, jakie jest jej wyobrażenie złego. Powiedziała:

– *Diabła nie!*

Ale tak kategorię z tonem, że zażalowałem. Po roku ponowiłem prośbę, ale na jej „nie” byłam już przygotowany.

Zapytałem:

– *Dlaczego nie?*

– *Bo to grzech!*

– *Pani Rosiowa, ja ten grzech biorę na siebie.*

– *A jak pan bierze na siebie, to wyrzeźbię.*

I wyrzeźbiła. Z butelką w jednej ręce i widłami w drugiej. Ta butelka jest symbolem naszej ludzkiej grzesznej natury. Widły wiadomo, przecież nawet diabeł nie będzie wkładał rąk do ognia. Gałęzie palonych na św. Jana sobótek podgarbiało się widłami.

Wyjechałem z Bieszczadów w 1990 r. Bezpośrednią opiekę nad babcią przejął Pękalski. Na jej pogrzebie w Średniej Wsi w 1995 r. nad grobem odczytał mój wiersz:

MADONNA ROSIOWEJ

*Dostojna jak księżniczka
z baśni dla dzieci*

*A on prawie nagusieńki
podwórkowy urwis
pragnący uwolnić się
z matczynego objęcia*

*Jeszcze chwila
i pobiegnie z gromadą
wiejskiej hulastry
skakać przez rów na łące
Czemu twoje spojrzenie Matko
jest tak karcące
To jeszcze dziecko
Niech się pobawi
dopóki nic o nim nie wie
ten świat
plugawy*



Dziela Zofii Roś, od lewej: *Diabeł* - jedyny jakiego zgodziła się wyrzeźbić, płaskorzeźba *Matka Boska z Dzieciątkiem*, rzeźba *Zalotnicy* - rzadki w twórczości artystki świecki temat przedstawienia

Zofia Roś dopiero po śmierci stała się dumą mieszkańców Bachlawy. Matka Boska, którą wyrzeźbiła, stoi w kapliczce przy jej domu i to jedyna pamiątka twórczości, jaka pozostała po niej we wsi. Reszta wierzbowych świętych powędrowała w świat, bo spodobał się tylko miastowym. Zresztą, czy kiedy żyła, taka kaleka, analfabetka, mogła zasłużyć na miano artystki, a to, co robiła na miano sztuki? ■

Przedwojenne Sianki

Wśród osób zorientowanych mniej lub bardziej w historii Bieszczadów hasło „turystyka w przedwojennych Bieszczadach” przywodzi na myśl miejscowość Sianki, która w latach 30. XX w. zastąpiła jako jedno z najważniejszych miejsc wypoczynkowych w tej części Karpat.

Jeszcze w 1880 r. Sianki zamieszkiwały 404 osoby. Wśród nich było aż 358 grekokatolików, 23 osoby wyznania rzymskokatolickiego i tyle samo Żydów. Rozwój Sianek umożliwiła wybudowana w latach 1904–1906 linia kolejowa ze Lwowa przez Sambor, Turkę i Przełęcz Użocką do Użhorodu (Ungwaru). W 1921 r. w Siankach położonych w powiecie turczańskim zamieszkiwało ponad 800 osób. Dwa lata przed wybuchem II wojny światowej miejscowość liczyła już półtora tysiąca mieszkańców.

Rozwój infrastruktury

Jednymi z pierwszych narciarzy, którzy docenili walory zimowe Sianek byli oficerowie i podoficerowie Wojska Polskiego z Przemyśla. Już w latach dwudziestych Przemyskie Towarzystwo Narciarskie (będące częścią PZN) organizowało wyjazdy zimowe do Sianek. Ogłoszona w grudniu 1929 r. wycieczka była przewidziana dla 25 uczestników, którzy mieli wyjechać z Przemyśla 26 grudnia, a powrócić do domów 2 stycznia 1930 r. W zamieszczonym na łamach „Tygodnika Przemyskiego” anonsie zwracano uwagę na trudności z zaopatrzeniem w żywność w Siankach. W związku z tym uczestnicy zobowiązani byli zakupić przed wyjazdem produkty takie jak konserwy, wędliny, herbatę czy cukier.

Jednakże jeszcze w zamieszczonym w „Kurjerze Warszawskim” z dnia 13 lutego 1933 r. artykule pt. „Rozkosze w Bieszczadach” jego autor podkreślał, że okoliczne tereny były słabo znane wśród narciarzy. Opisał przy tym działania Przemyskiego Towarzystwa Narciarskiego kierowanego przez Juliana Kolankowskiego.



SIANKI, Karpaty woj. lwowskie. Widok ogólny

Sianki – widok ogólny

Organizacja ta prowadziła wówczas już schronisko w budynku dawnych koszar kolejowych. W początkach 1933 r. w Siankach odbył się również oficerski kurs narciarski dla kilkunastu oficerów Wojska Polskiego. W tym czasie wprowadzono po raz pierwszy specjalne ulgi na przejazdy kolejowe na trasie Lwów-Sianki. Popularność Sianek rosła z sezonu na sezon. W lipcu 1933 r. pojawiły się informacje o organizowanej przez warszawski oddział PTT trzytygodniowej pieszej wycieczce przez Beskidy Środkowe. Wycieczkę miał prowadzić dr Mieczysław Orłowicz. Uczestnicy mieli rozpocząć swój marsz w Siankach skąd mieli wyruszyć 6 sierpnia w stronę Leska. Następnie planowano udać się do

Krynicy i na należący do Czechosłowacji Spisz. Wycieczka miała się zakończyć 27 sierpnia w Tatrach.

Na przełomie 1935 i 1936 r. w Siankach odbył się ogólnoakademicki kurs narciarski zorganizowany przez Koło Medyków Stowarzyszenia Samopomocowego Studentów Medycyny Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Wzięło w nim udział w sumie 86 osób. Uczestnicy zostali zakwaterowani w pensjonacie pani Stefańskiej. Tutaj spędzili Święta Bożego Narodzenia oraz przywitani Nowy Rok. Impreza miała przede wszystkim charakter sportowy i większą część poszczególnych dni wypełniały zajęcia oraz wycieczki narciarskie dla początkujących i zaawanso-



Zima w Siankach



Zimowe krajobrazy



Pocztówka wysłana z Sianek



Pensjonat „Szcawinka”



Dworzec kolejowy w Siankach

wanych. W trakcie obozu uczestnicy wyruszyli na Szcawinkę, Opołonek, Magurę, Kińczyk Bukowski, Halicz, a nawet Pikuj.

Z kolei w lutym 1936 r. obóz narciarski w Siankach zorganizował Związek Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych. Na jego zakończenie odbyły się zawody, w których wzięło udział siedem uczestniczek i czterestu uczestników.

Powoli dostrzegano również uroki letniego sezonu w Siankach. Jeszcze w 1932 r. z inicjatywy Przemyskiego Towarzystwa Narciarskiego wyznakowano siedem tras różnej długości wycieczek górskich, których punktem wyjścia była miejscowa stacja kolejowa. Natomiast w drugiej połowie lat 30. XX w. przybywający do Sianek narciarze i letnicy mieli już do dyspozycji trzy schroniska, sześć pensjonatów, dziesięć domów letniskowych oraz kwatery prywatne. Najbardziej luksusowym obiektem był wzniesiony kosztem 180 tys. zł Hotel Turystyczny Ligi Popierania Turystyki (nazywany również domem lub schroniskiem narciarskim). Środki na budowę wyłożył Przemyski Związek Narciarski, Ministerstwo Komunikacji, Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego oraz Polski Związek Narciarski. Hotel oddano do użytku 1 marca 1936 r. Wzniesiony przez huculskich cieśli budynek posiadał dostęp do wody bieżącej, był zelektryfikowany, a także miał centralne ogrzewanie. Wnętrze zdobyły huculskie rzeźby i ceramika, a ważne miejsce zajmował majolikowy portret mar-

szałka Józefa Piłsudskiego. Obiekt oferował 150 miejsc noclegowych.

Na granicy z Węgrami

W marcu 1939 r. wojska węgierskie zajęły Ruś Zakarpacką i tym samym południowym sąsiadem II Rzeczypospolitej na pół roku zostało Królestwo Węgier. Istniejące w Siankach przejście graniczne z Czechosłowacją, a następnie od października 1938 r. federacyjną tzw. drugą republiką, funkcjonowało od tej pory jako polsko-węgierskie. Wcześniej jednak, w dniach 16-17 marca 1939 r. przez Sianki przejechały pociągi wiozące setki uchodźców – urzędników państwa Czecho-Słowackiego wraz z rodzinami. Po przekroczeniu granicy, polskie służby odebrały pasażerom broń. Jak relacjonowano na gorąco w polskich gazetach, rozbrajanie odbyło się bez jakichkolwiek incydentów.

Natomiast już 19 marca uroczyste przywitano na Przełęczy Użockiej wojska węgierskie. W ramach tego szeroko opisywanego przez prasę wydarzenia, delegacja węgierska udała się do hotelu Ligi Popierania Turystyki w Siankach, gdzie gen. Waław Wieczorkiewicz (1890–1969) wręczył gen. Ferencowi Szombathelyi'emu (1887–1946) popiersie Józefa Piłsudskiego, dar dla armii węgierskiej z okazji imienin Marszałka. Jeszcze w marcu do Sianek przybyła komisja Powiatowego Zarządu Drogowego w Turce. Debatowano tu nad rozbudową sieci komunikacyjnej w południowej części powiatu z uwagi na uzyskanie granicy z Węgrami.

Dwa tygodnie przed wybuchem II wojny światowej w pasie granicznym między Siankami a Użokiem w ramach obchodów Święta Żołnierza odbyła się manifestacja przyjaźni polsko-węgierskiej. W skład węgierskiej delegacji wchodziło kilku generałów, a także arcyksiążę Józef Habsburg (1872–1962), prezes Węgierskiej Akademii Nauk. Polskę reprezentowali m.in. wojewoda lwowski Alfred Bityk (1889–1939), gen. Kazimierz Fabrycy (1888–1958) oraz gen. Waław Wieczorkiewicz, dowódca Okręgu Korpusu nr X w Przemyślu. Dwa miesiące wcześniej, w niedzielę 11 czerwca 1939 r. na Przełęczy Użockiej odbyła się uroczystość zbratania kolejarzy polskich i węgierskich, w której uczestniczyć miało dwustu Polaków i tysięcy Węgrów.

Józef Piłsudski w Siankach?

W licznych opracowaniach krajoznawczych pojawiają się informacje o informacja o pobycie w Siankach Józefa Piłsudskiego. Marszałek miał wówczas udać się na wycieczkę górską na Opołonek w asyście miejscowych dzieci polskich i ukraińskich. Podawane przy tym są różne daty, choć najczęściej pojawia się rok 1929. Ze wzmianek z prasy międzywojennej wiadomo natomiast, że na urlop w 1929 r. Marszałek wyjechał do Drukiennik. Chociaż wizyta miała charakter prywatny i nie organizowano w kuzurcie oficjalnego przywitania, to informacje o pobycie Piłsudskiego w jego ulubio-

SIANKI (850 m n. p. m.)
Znany pensjonat
„nasz dom”
 otwarty od 15. maja.
 Komfort europejski. Woda bieżąca w każdym pokoju. Kuchnia wykwinna. Taras. 2-morg. polana graniczna z lasem szpilkowym. Kort tenisowy (trener). Kąpiel w Sanie. — CENA: 4—6 ZŁ. **DZIENNIE**. **DZIECI** przyjmuje się pod specjalną opieką sił fachowych.
GIZA BRAUDE-BROCHOWA
 Telefon Nr. 4. — „Nasz Dom” — Sianki.

Reklama pensjonatu „Nasz Dom”

Narciarze, uwaga — Sianki proszą!

Na granicy polsko-węgierskiej, u źródła Sanu, w odległości 2 kilometrów od przełęczy Użockiej, leży malownicza, górską wioska Sianki. Któż z oficerów i podoficerów, uprawiających sport narciarski, nie zna tej pięknej miejscowości? Po wspaniałych, śnieżnych terenach pagórzystych Bieszczad, w tych to właśnie Siankach harcują zimą co roku, setki wojskowych narciarzy, czerpiąc tu radość i zdrowie. Ładnie jest w tych Siankach — ale bieda aż piszczy.

Redakcja nasza otrzymała właśnie list od dzieci z Sianek. Proszą one „tych panów narciarzy, których spotykają zimą u siebie” o pomoc dla szkoły polskiej w Siankach i dla siebie. Chodzi o podręczniki i pomoce szkolne, książki do biblioteki, o dzieł, obuwie itp.

Wierzymy, że nasi narciarze okażą im chętnie swą pomoc (indywidualną lub zbiorową), przesyłając dary na ręce kierownika szkoły powszechnej w Siankach p. Franciszka Czotowskiego.

Apel o pomoc dla dzieci z Sianek

SEZON LETNI W SIANKACH.
 W Siankach rozpoczyna się sezon letni z dniem 15 bm. Jakkolwiek Sianki leżą w pasie granicznym, nie ma żadnych przeszkód w rozwoju tej uroczej miejscowości jako letniska. Turyści i letnicy mogą liczyć na wszelkie udogodnienia i ułatwienia oraz zupełną swobodę w ramach letniska i jego okolicy.

Sezon letni w Siankach – wycinek z prasy



Sianki, Karpaty 840 m. n. p. m. Dom Tur. Narciarski P. T. N.

nym letnisku zamieszczono w gazetach ogólnopolskich. Należy podkreślić, że po 1926 r. na łamach prasy wspomiano o każdym wyjeździe Marszałka na urlop. Bywało też, że te prywatne wyjazdy Piłsudskiego na wypoczynek opisywano szczegółowo w osobnych artykułach. M.in. stąd wiadomo, że Marszałek nie unikał gór. Jesienią 1934 r. swój ostatni urlop wypoczynkowy były Naczelnik Państwa spędził w okolicach Żywca. Nie udało się jednak odnaleźć nawet najkrótszej wzmianki źródłowej, która potwierdziłaby fakt pobytu Józefa Piłsudskiego w Siankach. Obecność Marszałka najprawdopodobniej była tylko symboliczna – w postaci płaskorzeźby zdobiącej Hotel LPT i popiersia wręczonego w 1939 r. delegacji wojsk węgierskich.

Sianki po roku 1939

Rozwój Sianek i innych miejscowości położonych w tej części Bieszczadów został powstrzymany przez wybuch II wojny światowej. W 1939 r. Sianki przecięła granica rozdzielająca okupację niemiecką od radzieckiej. Mniejsza, zachodnia część miejscowości razem z dworem i starą cerkwią, znalazła się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Na wiosnę 1940 r. mieszkańcy wschodniej części Sianek zostali wysiedleni w okolice Kostopola na Wołyniu. Większość z nich powróciła w rodzinne strony po ataku Niemiec na ZSRR.

W październiku 1941 r. w „Więściach Polskich” półtygodniku wydawanym w Budapeszcie dla polskich uchodźców, zamieszczono informację iż gazeta „Esti Kurir” zapowiedziała udostępnienie Sianek dla węgierskich turystów podczas zbliżającej się zimy. Podczas II wojny światowej, niemieccy okupanci dostrzegali walory turystyczne tej części Karpat.



Hotel Turystyczny Ligi Popierania Turystyki w Siankach - widok zewnętrzny i wnętrze - na starych pocztówkach



W artykule zamieszczonym w okupacyjnej „Gazecie Ilustrowanej” uzdrowiskiem niedalekiej przyszłości nazwano położony w pobliżu Sianek Rozłęcz. Karpackie miejscowości letniskowe i kurorty narciarskie wymagały jednak poprawienia infrastruktury, zdewastowanej podczas niemal dwuletniego panowania radzieckiego.

W latach 1941–1944 w Siankach stacjonował oddział sprzymierzonych z III Rzeszą wojsk węgierskich. Ostateczną zagładę Sianek jako kurortu przyniosły pierwsze miesiące po przejściu frontu i zakończeniu II wojny światowej. Po

wytyczeniu nowej granicy polsko-radzieckiej, z polecenia władz rozebrano zabudowę w pasie przygranicznym o szerokości 800 m po wschodniej stronie Sanu. Wysiedlono też znaczną część mieszkańców, zostawiając tylko osoby potrzebne do obsługi linii kolejowej. Natomiast mieszkańcy zachodniej (polskiej) części Sianek zostali przesiedleni do ZSRR, a zabudowa uległa spaleni. W 2001 r. w Siankach po stronie ukraińskiej zamieszkiwało 580 osób, niemal trzykrotnie mniej niż przed wybuchem II wojny światowej. ■

Źródła ilustracji:

- BN – Biblioteka Narodowa
- Sianki – widok ogólny** (BN sygn. Pocz.10966)
- Zima w Siankach** (BN sygn. Pocz.10978)
- Zimowe krajobrazy** (BN sygn. Pocz.10961)
- Pocztówka wysłana z Sianek** (a) (BN sygn. Pocz.10975)
- Pensjonat „Szczawinka”** (BN sygn. Pocz.10959)
- Dworzec kolejowy w Siankach** (BN sygn. Pocz.10971)
- Reklama pensjonatu „Nasz Dom”** („Chwila”, R16, nr 5466, 11 czerwca 1934, s. 12)
- Apel o pomoc dla dzieci z Sianek** („Polska Zbrojna”, R 18, nr 127, 8 maja 1939, s. 4)

Sezon letni w Siankach – wycinek z prasy

- („Dziennik Polski”, R.5, nr 154, 8 czerwca 1939, s. 11)
- Hotel Turystyczny Ligi Popierania Turystyki w Siankach** (BN sygn. Pocz.10970)
- Hotel Turystyczny Ligi Popierania Turystyki w Siankach** [budynek] (BN sygn. Pocz.10968)
- Hotel Turystyczny Ligi Popierania Turystyki w Siankach** [wnętrze hotelu] (BN sygn. Pocz.10969)
- Reklama pensjonatu „Nasz Dom”** („Chwila”, R.21, nr 7189a, 28 marca 1939, s. 12)
- Szlaki turystyczne z Sianek** („Wiadomości Turczańskie” R.1, nr 12, 25 grudnia 1932, s. 4)

ŚWIĘTA WIELKANOCNE W SIANKACH
 DNI SPOKOJU I WYPOCZYNKU — DLA NARCIARZY WYMARZONE WARUNKI
„nasz dom”
 TEL. NR. 4. TEL. NR. 4.

Reklama pensjonatu „Nasz Dom”

Szlaki turystyczne Przemysłowego Tow. Narciarskiego.
 Kolo Turczańskie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wspólnie z Przemysłowym Tow. Narciarskim ustaliło i oznaczyło następujących 7 szlaków wycieczki na szczyty górskie, przyjmując za punkt wyjścia dworzec kolejowy w Siankach:

Szczawinka (953 m.)	marz 1 - godzinny prowadzi znak biało-żółty,
Magóra (1013 m.)	3 biało-łotkowy,
Wilchowate (1032 m.)	2 biało-łotkowy,
Opalonek (1028 m.)	2 niebiesko-czerwony,
Halicza (1335 m.)	5 biało-niebieski,
Starosłyna (1229 m.)	5 biało-czerwono-biały,
Pikuj (1405 m.)	6 biało-czerwono-biały.

Szlaki turystyczne z Sianek

dr Łukasz Bajda

Dwory w Bieszczadach i ich właściciele

Na terenie II Rzeczypospolitej - przed 1939 r. - znajdowało się około dwudziestu tysięcy dworów. Natomiast w początkach XXI w. we współczesnych granicach naszego kraju doliczono się ich zaledwie dwa i pół tysiąca. W wielu przypadkach były to obiekty silnie zdewastowane, często niemożliwe do uratowania. W Bieszczadach, gdzie dominowała drobna własność ziemska, dwory znajdowały się w niemal każdej miejscowości. Do naszych czasów przetrwało zaledwie kilka obiektów.

Dziś, gdy dawnych siedzib szlacheckich i ziemiańskich zostało tak niewiele, dwory postrzegane są głównie przez pryzmat swojej architektury. Pozbawione dawnej roli ekonomicznej, społecznej i historycznej stały się jedynie smutnym cieniem epoki, która ostatecznie przeminęła z końcem II wojny światowej. Pozostało stereotypowe wyobrażenie siedziby szlacheckiej jako budynku przykrytego łamanym dachem i ozdobionego od frontu klasycystyczną kolumnadą. Każdy dwór wyglądał jednak inaczej, choć rzeczywiście moda na klasycyzm wywarła silny wpływ na architekturę siedzib ziemiańskich. Współcześnie zapomina się o stanowiących część zabudowań dworskich budynkach gospodarczych, młynach, tartakach, gorzelniach, browarach czy zakładanych w pobliżu stawach hodowlanych.

Dwór to nie tylko budynek. Dziś, jak już zaznaczyłem, mamy zachowany niewielki ułamek tych dawnych siedzib szlacheckich i zie-



Leska siedziba Krasickich stanowiła jeden z ważnych punktów życia kulturalnego i politycznego Galicji

miańskich. W niemal wszystkich wypadkach to wydmuszki pozbawione swojego dawnego wyposażenia. Przepadły lub zostały rozproszone zbiory sztuki, archiwalia i biblioteki. Dwór to wreszcie miejsce spotkań zarówno tych rodzinnych, jak i towarzyskich. W przeszłości, w dworach spotykała się elita majątkowa, kulturalna i intelektualna. Franciszek Ksawery Krasicki z Leska był najbardziej szanowanym ziemianinem w Sanockiem w 1. połowie XIX w., a leska siedziba Krasickich stanowiła jeden z najważniejszych punktów życia kulturalnego i politycznego ówczesnej Galicji.

Dwór obronny

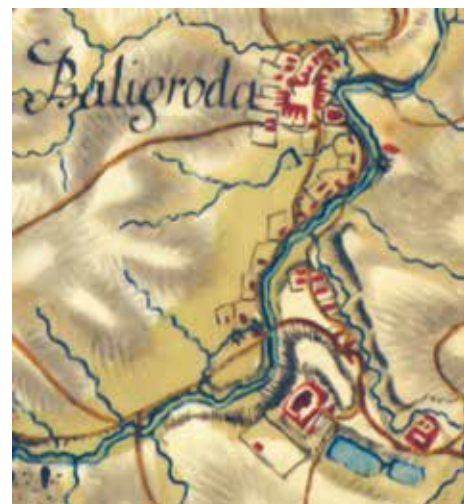
Dwory, które w czasach staropolskich wznoszono w południowej części ziemi sanockiej bardzo często miały charakter obronny. Ustawicznym zagrożeniem dla tego terenu były napady zbójników karpaccich, zwanych



Sobierń ruiny zamku, Andrzej Grabowski, 1859, Muzeum Narodowe w Krakowie Sukiennice (WikiCom)



Ruiny - pozostałości zamku hoczewskiego



Baligród na mapie Fryderyka von Miega (1779-1783)



Niezachowany dwór w Średniej Wsi oraz wnętrze jednej z jego sal (arch. Bieszczadzkiego Parku Narodowego)

beskidnikami lub tołhajami. Siedziby dawnej szlachty sanockiej najczęściej wznoszono z drewna. Dlatego też obiekty murowane, z reguły większe od przeciętnego dworu, zwyczajowo określano mianem zamków. W Bieszczadach (w ich turystycznych granicach), oprócz trzech „prawdziwych” zamków: w Sanoku, na górze Sobień i w Lesku, takie określenie nieco na wyrost uzyskały dwory w Hoczwi i Baligrodzie. W dolinie Hoczewki w okresie staropolskim był jeszcze murowany dwór w Zahoczewiu. W jednej ze swoich powieści Zygmunt Kaczkowski nazywa go zamkiem.

W komentarzach do austriackiej mapy wojskowej z końca XVIII w. wspomniano o wszystkich trzech murowanych siedzibach szlacheckich w dolinie Hoczewki i oceniono ich przydatność z punktu widzenia ówczesnego wojska. Zamek w Hoczwi uznano za *dogodny na posterunek obronny przeciwko wypadowi kawalerii*. O dworze zahoczewskim napisano, że jest co prawda murowany z kamienia, ale nie posiada większego znaczenia. Wię-

cej miejsca poświęcono natomiast dawnej siedzibie Balów w Baligrodzie: *Mocny zamek jest zaopatrzony w międzymurze oraz drzewa [tj. palisadę drewnianą]; wewnątrz mogłoby się skutecznie bronić około 500 ludzi; w ogóle można go wykorzystać jako posterunek przeciw wypadom [nieprzyjaciela]*. Zamek baligrodzki przynajmniej od początku XIX w. był niezamieszkały. Istniał jednak jeszcze 1864 r. gdy w „Dzienniku Literackim” artykule poświęconym historii Baligrodu Antoni Schneider wymienia jako istniejącą *murowaną siedzibę dworską zwaną zamkiem*. W późniejszym czasie fortalicja popadła w całkowitą ruinę i traktowana była jako rezerwuwar budulca. W okresie międzywojennym F. A. Ossendowski w swoim reportażu o Karpatach i Podkarpaciu odnotował już tylko *głazy fundamentów i zapadłe już lochy*, jako jedyne pamiątki po warowni Balów. Do dziś zaś część Baligrodu położona w pobliżu miejsca po fortalicji, nazywana jest Podzamcze. Po zamku hoczewskim, w którym urodził się ojciec Aleksandra Fredry oprócz pamięci zachowały się drobne pozostałości, które można zobaczyć w pobliżu boiska szkolnego w Hoczwi.



Obronny charakter posiadały również siedziby wznoszone z drewna. Bardzo interesującym przykładem tychże był istniejący jeszcze w XVIII w. dwór w Olszanicy, zbudowany na sztucznej wyspie, na której dziś podziwiać możemy ponad stuletni pałac rodziny Juścińskich. Niestety trudno dziś, mimo zachowanych inwentarzy i innych źródeł pisanych odtworzyć dokładny wygląd tych najdawniejszych siedzib szlacheckich w Bieszczadach. Więcej można powiedzieć o dworach z okresu późniejszego. Część



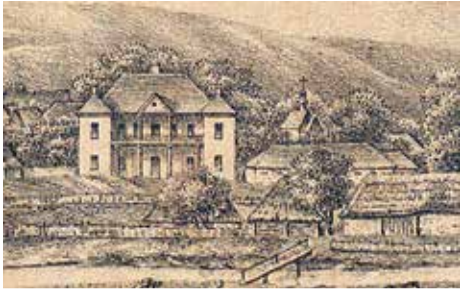
Krzysztof Zieliński (3)

Murowany dwór Juścińskich na wyspie w Olszanicy, przebudowany w 1905 r., jest jedną z najbardziej malowniczych siedzib ziemiańskich w Bieszczadach



Łobozew - szkoła w dawnym dworze

Łukasz Bajda



Dwór w Uhercach na ilustracji z ok. 1840 r.



Dwór w Uhercach Mineralnych od frontu



Dwór w Uhercach Mineralnych, elewacja ogrodowa

z nich odznaczało się okazałym wyglądem. Wspaniale prezentował się przebudowany pod kierunkiem Wincentego Pola dawny zamek leski, który jednak uszkodzony podczas I wojny światowej potrzebował kolejnego gruntownego remontu. W 2. połowie XIX w. wzniesiono pałacyki w Średniej Wsi, Sokolem i wspomnianej wyżej Olszanicy. Większość dworów bieszczadzkich była jednak mało okazałymi budynkami z drewna, po których dziś nie ma już najmniejszych śladów. Część siedzib wznoszonych w XIX w., jak np. zachowany do dziś obiekt w Łobozewie, były murowane. Inne stanowiły adaptację starszych obiektów (Uherce i zamek leski). Niemal wszystkie dwory powstawały w miejscu lub w pobliżu swoich poprzedników. Bywało, że w tej samej miejscowości w związku z funkcjonowaniem kilku folwarków było również kilka dworów.

Patriotyzm

Szlachtę i ziemiaństwo postrzega się zbyt często jedynie przez pryzmat złych czynów, a w najlepszym przypadku dziwactw, które charakteryzowały niektórych przedstawicieli tej grupy społecznej. W obiegowych opiniach na temat polskiej szlachty zapomina się, że to właśnie ta warstwa społeczna była inicjatorką zrywów niepodległościowych począwszy od konfederacji barskiej na powstaniu styczniowym skończywszy. W kontekście dawnej ziemi sanockiej nie można również nie wspomnieć o nieudanym powstaniu z 1846 r. Potomkowie wielu rodzin szlacheckich walczyli o niepodległość Polski podczas I wojny światowej i w bojach toczonych w pierwszych latach po odzyskaniu wolności. Również po 1939 r. wielu ziemian, także w Bieszczadach włączyło się w konspirację. Warto wspomnieć o udziale w organizowaniu tras przerzutowych na Węgry Czesława Wawrosza, właściciela majątku i twórcy lotniska w Myczkowie, który zapłacił życiem za swoją działalność. Jednym z miejsc, którym niesiono pomoc udającym się na Węgry był także dwór baliogrodzki, a jego właścicielka Anna Jankowska pseudonim „Hanka” należała do Armii Krajowej. Punkt przerzutowy i kontaktowy na trasie kurierskiej wiodącej do Budapesztu został zorganizowany w dworze Władysława Giedroycia w Żubraczem. Najbardziej zaangażowaną w działalność konspiracyjną była córka właściciela tamtejszego majątku Jadwiga z Giedroyciów Kociatkiewiczowa.

Mimo tych faktów, w głównej mierze jako pokłosie okresu PRL, pokutuje obraz szlachty i ziemiaństwa wyłącznie jako wyzyskiwaczy chłopstwa lub utracjuszy, którzy trwonili majątki będące owocem „krwawej pracy ludu wiejskiego”. Oczywiście sytuację złego traktowania chłopów nie były odosobnione, ale nie można również generalizować. Pozwolę sobie jednak przytoczyć pochodzący z 1831 r. zapis z pamiętnika Romana Kraińskiego, właściciela majątku w Leszczowatemu: *Gorszy dzień niż wczoraj. Chorym mało co się polepsza. Jacka żona umarła, Tomaszowa zachorowała, kłopot wielki. Dużo trzeba mocy ducha, aby się nie zdekoncentrować, bo inna jest rzecz słyszeć o cholery, a inna mieć ją we wsi i czuć się w obowiązku ratowania tych, których się jest prawie opiekunem i w którym chłopstwo jedynie pokłada zaufanie. W „Allgemeine” wyczytałem, że bismut rekomenduje doktor warszawski, Leo, na cholere; posłałem dziś na koniu do Dobromila po to lekarstwo (...).* Kraiński swoje podejście do chłopów zamieszkujących należące do niego dobra, wpoił również swoim synom. W korespondencji zamieszczonej na kartach lwowskiej „Gazety Narodowej” we wrześniu 1874 r. wieś Leszczowate wymieniona została jako jedna z nielicznych w okolicy, gdzie lud żył we względnym dostatku: *Komuż zawdzięcza Leszczowate swe ocalenie? Sędziwemu a światłemu właścicielowi tych dóbr, potrafił on utrzymać patryarchalny stosunek pomiędzy gminą a dworem, przykładem i zachętą, radą i surowem karceniem złego, zy-*

skal zaufanie gminy i jak dobrego ojca dziś go tam cenią. Ow „sędziwy właściciel dóbr” to Edmund Kraiński (1887–1804), syn Romana i podobnie jak jego młodszy brat Lucjan, weteran powstania listopadowego.

Oczywiście stosunki dworu z wsią układały się różnie. Jeszcze w okresie pańszczyźnianym byli ziemianie-demokraci, jak Wincenty Pol czy tak wrażliwi na ludzką krzywdę jak cytowany Roman Kraiński. Można oczywiście odnaleźć przykłady innych zachowań. Urodzony w Paszowej gen. Aleksander Prągowski (1895–1974) tak pisał o swoim ojcu Robercie (1858/59–1933), właścicielu paszowskiego majątku: *pan wykształcony i dystygowany, a który po swojej matce baronównie Neisser Ignął do wielkiego świata, nie miał krzty zamilowań społecznych. Domowa apteczka i beczki z wodą do gaszenia pożarów – to było wszystko!*

Nowe czasy

Ważną datą w dziejach ziemiaństwa i dworów było zniesienie pańszczyzny w zaborze austriackim w 1848 r. Wielu nie poradziło sobie w nowej sytuacji ekonomicznej. Sprzedawano majątki, wyjeżdżano do miast, gdzie potomkowie szlachty tworzyli zręby polskiej inteligencji. Na ich miejsce przybywały nowe, bardziej przedsiębiorcze jednostki już nie zawsze szlacheckiego pochodzenia. Inni natomiast dzięki utrzymanej wysokiej pozycji majątkowej szukali innych niż wyłącznie rolnictwo źródeł dochodu. Najbardziej znanym



Franciszek Ksawery Krasicki (1774 - 1844)



Edmund Kraiński, fotografia z ok.1880 r.



Jacek Fredro - ojciec pisarza Aleksandra (1760-1828)

przykładem tych przedsięwziętych potomków dawnych rodzin szlacheckich w Bieszczadach jest postać Jacka Fredry, urodzonego w Hoczwi ojca słynnego komediopisarza. Senior Fredro był przecież założycielem hut żelaza w Cisnej i Rabem. Należy pamiętać, że

wśród pionierów w poszukiwaniach ropy naftowej na Podkarpaciu byli właśnie ziemianie. Jednym nową gałąź przemysłu przynosiła krociowe zyski inni traciłi przez to swoje majątki. W końcu XIX w. w kręgach ziemiańskich pojawiły się również pierwsze inicjatywy dotyczące tworzenia lotnisk w Bieszczadach. Również w okresie międzywojennym to właściciele majątków byli pionierami w działaniach na rzecz rozwoju turystyki w regionie. Letników przyjmowano m.in. w majątkach Jabłonki, Myczków, Olszanica, Sokole czy Średnia Wieś.

Bieszczadzcy ziemianie – twórcy kultury

Często przywołuje się w kontekście dziejów bieszczadzkiej kultury z regionem znanych pisarzy. Wśród bieszczadzkich „sławnych piór” najczęściej wymieniani są Zygmunt Kaczkowski, Wincenty Pol, Jan Kanty Podolecki, Józef Bliziński czy Józef Turowski. Podkreśla się również związki Aleksandra Fredry z regionem. Wszystkich wymienionych tu ludzi pióra, oprócz powiązań z Bieszczadami łączy także ziemiańskie pochodzenie. Można

wymienić więcej takich twórców. I tak córką właścicieli majątku w Bezmiechowej Górnej była poetka i autorka książek dla dzieci Maria Czerkawska (1881–1973). Wśród ziemianek bieszczadzkich warto wspomnieć także o Celinie z Treterów Dominikowskiej (1830–1908), która zasłynęła jako malarka, rzeźbiarka, pisarka i zbieraczka pamiątek narodowych. Jej też zawdzięczamy utrwalenie wyglądu wielu dworów z zaboru austriackiego. Sama była przez pewien czas mieszkanką Orelca i Dźwiniacza Górnego. Do dziś zachowały się rysunki tamtejszych dworów autorstwa Celinie z „orelego gniazda”, jak sama określiła swój orelecki dom w podpisie szkicu.

Malarzem-amatorem był Tadeusz Soldraczyński (1845–1921), właściciel majątku w Jabłonkach, uczestnik powstania styczniowego, który ok. 1910 r. namalowany przez siebie obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem i św. Janem podarował kościołowi w Baligrodzie. Ojciec Tadeusza, Ignacy Soldraczyński (1820–1894), był poczytnym publicystą rolniczym propagującym w połowie XIX w. nowoczesny sposób gospodarowania. Młody Soldraczyński popadł w długi próbując w swoich dobrach urządzić duży ośrodek przemysłu drzewnego. Był jednym z inicjatorów niezrealizowanych planów budowy kolejki wąskotorowej z Łukawicy przez Baligród do Cisnej. Po licytacji majątku w Jabłonkach, spuścizna rękopiśmienna jego ojca uległa rozproszeniu i ponoć służyć miała w *Baligrodzie po sklepikach na papier od obwijania masła i towarów mieszanych*.

Do dworów położonych w Bieszczadach i na Pogórzu Przemyskim przyjeżdżali również w gości krewni i znajomi. Często gościem w dworze w Rudawce koło Birczy był poeta, komediopisarz dziennikarz i tłumacz Aureli Urbański (1844–1901). Jan Porembalski jr wspominał, że: *Poeta miał dziwne pomysły. Przebrany za diabła dosiadał konia i w rozwianej pelerynie pędził do Birczy. Chłopi stawiali na drodze, pobożnie się żegnając, inni, mniej odważni, uciekali w popłochu*. Warto w tym kontekście wspomnieć, że Aureli Urbański przełożył na język polski m.in. jedno z ciekawszych opowiadań mistrza powieści grozy Edgara Allana Poe pt. „Złoty żuk”

Żydowski ziemianie

Hersz Grossinger w latach 60. XIX w. skupił w swoich rękach znaczną część majątków ziemskich z okolic Baligrodu. Jeszcze w 1867 r. mieszkał w miasteczku,



Niezachowana willa inż. Rubinsteina w Bukowcu

a w świetle wysokości podatków jakie płacił wcale nie należał do najbogatszych kupców baligrodzkich. Jak można przeczytać w cytowanej już kronice parafialnej: *Tymczasem w okolicy Baligrodu stał się potentatem ubogi kotlarz Hersch Grossinger. Był to nadzwyczaj przedsiębiorczy i przemysłny człowiek. Dojście jego do początkowych tysięcy jest tajemnicą, jak u wielu jego współwyznawców, a miał je zrobić u Pani Giebułtowskiej, właścicielki Wołkowyi, Górzanki i Radziejowej*. Grossinger, oprócz majątku Baligród kupił również Bystre, Cisowiec, Stężnicę, Roztoki Dolne i Mchawę. Przejściowo był także właścicielem klucza ciśniańskiego. Potomkowie Hersza Grossinger utrzymali w swoich rękach niektóre dobra aż do wybuchu II wojny światowej. W 1927 r. w prasie codziennej pojawiły się ogłoszenia podpisane przez Józefa Grossingera, właściciela majątku w Mchawie, z treścią iż nie zamierza on płacić żadnych długów za swoją żonę dr Fanny Meergruen – Grossinger, lekarkę z Baligrodu. Zamierzaniem pana Grossingera nie było jednak zabezpieczenie swojego majątku, ale wyrażenie złości na małżonkę, z którą był w separacji. Sprawa miała finał w sądzie, a wytoczony przez panią doktor proces zakończył się dopiero 22 stycznia 1930 r. Wówczas autor kłamliwego ogłoszenia został skazany na 2 miesiące aresztu oraz zapłacenie 220 zł kosztów sądowych i 1000 zł nawiazki za krzywdę moralną wyrządzoną byłej małżonce.

Po I wojnie folwark w Orelcu zakupił Józef Manaster, ojciec ocalonej z Holocaustu Jafy Wallach, autorki wspomnień zatytułowanych „Gorzka wolność”. Natomiast majątek w Lutowiskach jeszcze w 1896 r. nabył najbogatszy kupiec w dolinie górnego Sanu Mendel Rand. On również przejął majątek w Chmielcu. Wówczas tamtejsze zabudowania dwor-



Celina z Treterów Dominikowska



Niezachowane bieszczadzkie dwory narysowane przez Celinę Dominikowską; od lewej w Orelcu oraz Dźwiniaczu Górnym



OSTRZEGAM,

iż za żonę swą, dr. Fanny Meergruen-Grossinger, lekarzkę w Baligrodzie, żadnych długów płacić nie będę.

Józef Grossinger, w Mchawie.

Ogłoszenie Józefa Grossingera zamieszczone w czasopiśmie *Chwila*, nr 3000, 27 lipca 1927 r.

skie zostały rozebrane, a uzyskany w ten sposób materiał budowlany sprzedano. Lasy należące do majątków w Beniowie i Bukowcu nad Sanem w początkach XX w. przejęła lwowska spółka Frommer & Rubinstein. W Bukowcu ok. 1910 r. powstała wytwórnia beczek, która w czasach świetności dawała zatrudnienie dla kilkuset osób. W sąsiedztwie zakładu Rubinsteina wzniesiono piętrową willę będącą ważnym ośrodkiem życia towarzyskiego.

Koniec pewnej epoki

Ziemianie, jako przedstawiciele elit II Rzeczypospolitej ucierpieli ze strony obu okupantów. Niektórzy, jak Kazimierz Janowski syn właścicieli dworu Baligrodzie, zostali zamordowani przez UPA. Ostatecznie jednak kres całej klasie społecznej przyniósł dekret PKWN z 1944 r., odebranie i parcelacja majątków. W powojennej Polsce, osoby pochodzenia ziemiańskiego musiały przez długi czas żyć z narzuconym przez władze piętnem „obszarników i wyzyskiwaczy”.

Bieszczady to region boleśnie doświadczony przez historię. W efekcie wydarzeń, które nastąpiły po zakończeniu II wojny światowej z mapy zniknęło wiele niegdyś bardzo ludnych miejscowości wraz z zabudową. Zniszczona została przy tym większość tutejszych, nierzadko bardzo cennych cerkwi. Przetrwało ok. 1/3 świątyń istniejących na tym terenie przed 1939 r. W przypadku dworów odsetek ten jest znacznie mniejszy. Tylko na obszarze współczesnej gminy Lutowiska istniało w XIX w. przynajmniej 26 dworów. Nie zachował się ani jeden. Najczęściej je do

naszych czasów nie dotrwały również żadne wizerunki tych większych i mniejszych siedzib ziemiańskich. Spośród dziesiątków dworów znajdujących się niegdyś na terenie dzisiejszych powiatów bieszczadzkiego i leskiego, do naszych czasów na przetrwało zaledwie siedem (Dziurdziów, Lesko, Łobozew, Olszanica, Ropienka, Rudenka i Uherce Mineralne).

Znacząca część bieszczadzkich dworów zniknęła z powierzchni ziemi wraz z całą zabudową miejscowości, w których się znajdowały. Zagłady dawnych siedzib ziemiańskich w naszym regionie nie można jednak wiązać wyłącznie z okresem walk z podziemiem ukraińskim i niszcze-

Źródła ilustracji:

BN – Biblioteka Narodowa

Dwór w Uhercach ok. 1840 r. [fragment ilustracji z albumu: *Galicja w obrazach czyli Galerya litografowanych widoków, okolic i najznakomitszych zabytków Galicji z opisaniem obrazów w języku polskim i niemieckim*, Lwów ok. 1840; zbiory Biblioteki Narodowej],

Willi inż. Rubinsteina w Bukowcu (BN sygn. Pocz.11142),

Zdjęcie Celiny z Treterów Dominikowskiej [BN sygn. F.44500/W],

Dwór w Orelcu [mal. Celina Dominikowska: *Orelec, orle gniazdo! Tu cierpiałam i płakałam*, Biblioteka Narodowa, sygn. R.12847/I],

Dwór w Dźwiniaczu Górnym (rys. Celina Dominikowska) [BN AFRys. 15/1].

niem zabudowy w trakcie przesiedleń. Obiekty pamiętające epokę staropolską, jeśli nie zostały na czas wyremontowane lub przebudowane, rozpadły się jeszcze w XIX stuleciu, a ich właściciele woleli mieszkać w nowych budynkach. Niektóre dwory przetrwały najtrudniejszy czas w Bieszczadach, a zostały zburzone w późniejszym okresie. Np. dwory w Sokolem i Baligrodzie dotrwały do lat 60. ubiegłego wieku, zanim zostały rozebrane. Losy bieszczadzkich dworów oraz ich właścicieli wciąż czekają na gruntowne przebadanie i opisanie. ■



Niezachowany dwór rodziny Nanowskich w Ustrzykach Dolnych. Spalony w niejasnych okolicznościach we wrześniu 1939 r. Obecnie na tym miejscu stoi budynek hotelu Laworta (ok. 1937 r., fot. J. Szczepański, z arch. Bieszczadzkiego Parku Narodowego)



Niezachowany dwór Czerkawskich w Bezmiechowej. W lipcu 1944 r. wszystkie zabudowania majątku wraz z dworem spalił oddział UPA, obecnie w miejscu dworu widoczne są ślady podmurówki.



Niezachowany tzw. Szumny Dwór w Kalnicy k. Baligrodu, w którym mieszkał poeta Wincenty Pol, gdy dzierżawił miejscowy majątek w latach 1836-1839.

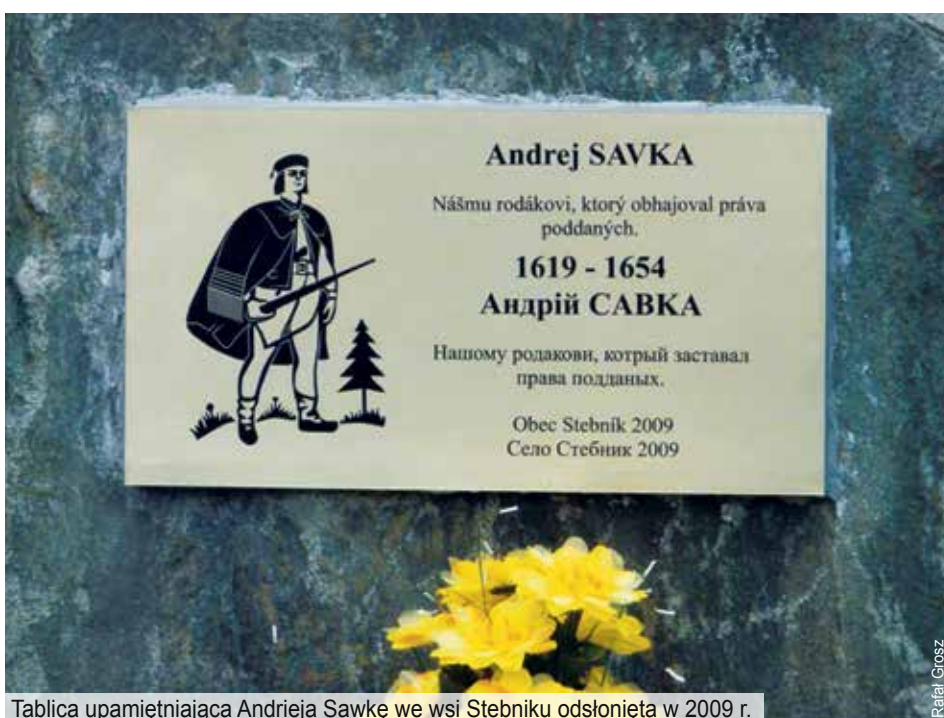
Zbój Sawko

Łemkowszczyzna to potocznie region zamieszkały przez wschodniosłowiańską grupę etniczną zwaną Łemkami. Stanowili oni integralną część narodu ruskiego, którzy zasiedlali Karpaty od Wysokiego Działu w Bieszczadach po dolinę Popradu w Beskidzie Sądeckim oraz tzw. Ruś Szlachecką na pograniczu Małych Pienin i Beskidu Sądeckiego. Jak wszędzie w Karpatach panoszyli się tu zbójnicy, których zwano beskidnikami.

Historia знаła wielu znamienitych karpaccich zbójników, a wśród nich najslawniejszego łemkowskiego beskidnika Andrija Sawkę. Urodził się on w 1619 r. we wsi Stebnik koło Bardejova w rodzinie diaka. Rodziną sielanką nie cieszył się jednak zbyt długo. Po śmierci matki, a później ojca, trafił na służbę dworską do Rakocznych w Zborowie. Tu jednak po paru latach służby podpalił dwór i przyłączył się do bandy Wasyla Bajusa z Leszczyn, który działał w okolicach Bardejova i Gorlic. „Chłoptwo działające jako bandyci pod dowództwem Bajusa w 1644 r. zaatakowało władców majątków Trojanowskiego i Bobrowskiego. W 1647 r. zrabowane zostały osady feudalne w okolicach Muszyny. W udziałach tych uczestniczyli rolnicy ze Stebnika, Bodruża, Krajna, Hradiska i Kružlova. Banici mieli także pomocników wśród ludzi, zaopatrujących ich w proch strzelniczy lub żywność, lub przechowujących skradzione rzeczy. W swoim oświadczeniu pewien Drabiak wspomina konkretne imiona sojuszników, w tym Fedora Urbana z Krizova, Greća Zelinka z Haligoviec, braci Jankovci z Lutini, Andrija Savke ze Stebec...”

Po śmiałych i brawurowych napadach nastął ciężki czas dla kompanii Bajusa. Wojska starosty Wielopolskiego wyparły bandę z rejonu Bardejova i zmusiły ich do tułaczki po mniej atrakcyjnych terenach. Jak donoszą źródła beskidnicy ukryli się w okolicy Stebnika, a ich domem stały się: Magura Stebnicka – najwyższy szczyt Pogórza Ondawskiego i góra Wielki Tureń. Tu prawdopodobnie po raz pierwszy w głowie Sawki zrodził się pomysł stworzenia własnej zbójniczej drużyny. W 1648 r. Sawka już samodzielnie orga-

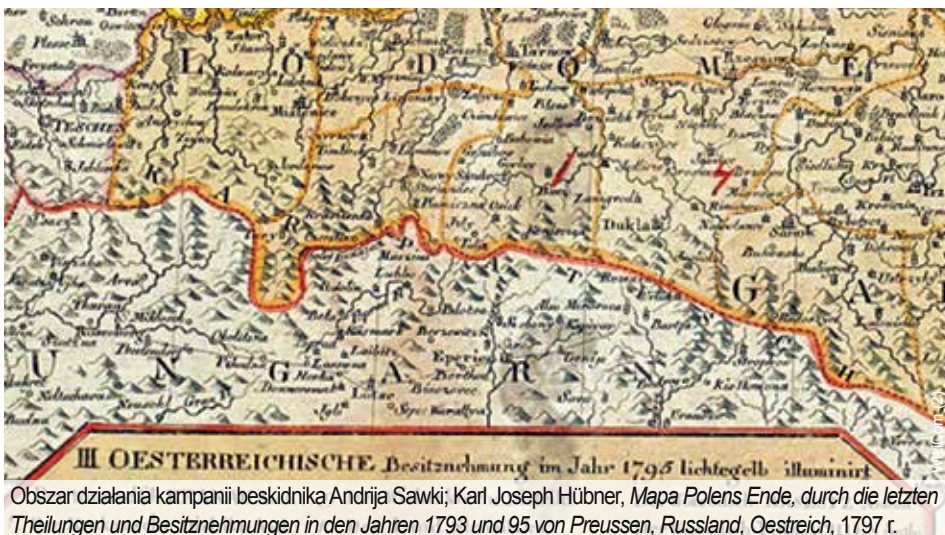
Rafał Grosz – góral z Koniakowa, miłośnik góralskiej tradycji i zbójniczego życia; przodownik turystyki górskiej, propagator turystyki pieszej, pomysłodawca i organizator rajdów górskich o tematyce regionalnej.



Tablica upamiętniająca Andrieja Sawkę we wsi Stebniku odsłonięta w 2009 r.

nizuje w okolicach Sanoka bursę, która od razu zasnęła ze spektakularnego ataku na sanocki zamek. Wzięli w nim udział nie tylko beskidnicy Sawki, ale i chłopi z Kamiennego, Oslawicy, Przybyszowa, Płonej, Wisłoka i Wysoczan. Łącznie w ataku uczestniczyło około 400 osób (!). „Savko-

wowie skupili się także na wyzwoleniu uwięzionych banitów, którzy wpadli w ręce sprawiedliwości. W sierpniu 1648 r. wykonali w tym celu dużą rampę do zamku w Sanoku. Z pomocą dzianinowych drabin niespodziewanie dostali się na dno, zaskoczonych strażników zwięzali i umie-



Obszar działania kampanii beskidnika Andrija Sawki; Karl Joseph Hübner, Mapa Polens Ende, durch die letzten Theilungen und Besitznehmungen in den Jahren 1793 und 95 von Preussen, Russland, Oestreich, 1797 r.



Internet

Jeden funt zbójnicki z Muszyny poświęcony Sawko, wybitny w nakładzie 5000 sztuk w 2010 r., zaprojektowany przez Justynę Jaśkowiak

ścili w piwnicach, w których znajdowali się zbójnicy na stracenie.”

Uwolnieni beskidnicy w większości przystali do bursy Sawki i ruszyli za nim w okolice Bardejova, Stropkova, Sniny i Humenego, aby tam przez rok łupić i grabić szlacheckie dwory. Od tej pory Andrij Sawko znany jest pod kilkoma pseudonimami: Janko, Hančovski, Ovčar czy Suchaj, ale to nie zmienia faktu, iż czyni których się dopuścili i tak obciążają jego konto.

W 1649 r. stała się rzecz niebywała, a mianowicie w Barwinku doszło do spotkania kilku zbójnickich kompanii. To istny fenomen, aby interesy poszczególnych przywódców ustąpiły pola wspólnej walce z feudalnym uciskiem. Pod przewodnictwem Andrija Sawki, Wasyla Czepca z Grybowa i Seńka spod Makowicy, beskidnicy połączyli siły i ustalili strategię działań. Podjęto decyzję, iż na czele nowo utworzonego oddziału stanie Sawka i Czepiec. To oni byli odpowiedzialni za napady na dwory (w celu pozyskania broni) i rekrutację nowych chłopów. W połowie 1651 r. Sawka pod bronią miał już ponad 300 ludzi i siłą postrach w okolicznych grodach. *„Źródła historyczne i podania ludowe charakteryzują go jako osobowość wykształconą jak na owe czasy. Wieść o młodym i odważnym przywódcy szybko się rozniosła po całym rejonie. W krótkim czasie liczba zbójników osiągnęła liczbę ponad pięćset osób.”* Zastanawia tylko fakt, dlaczego do nowo powstałej bursy zbójnickiej nie dołączył Wasyl Bajus? Źródła podają, że po nagonce na jego towarzystwo zmuszony był wycofać się za Cisę, w rejon sąsiadujący z Huculszczyzną, i u Zakarpackich Rusinów postanowił odpocząć od zbójnickiego rzemiosła.

W okres wzmożonej działalności Andrija, wpisuje się jeszcze inne wydarzenie, które odcisnęło piętno nie tylko na Łemkowszczyźnie, ale i całej Rzeczypospolitej. To powstanie Chmielnickiego. Sawko na fali wydarzeń z Sycylii organizuje masowe zgromadzenia chłopów, odczytuje „kozackie rozkazy” i nawołuje do powstania przeciw panom.

W czerwcu 1651 r. powstańcy wraz z chłopami z Łemkowszczyzny i beskidnikami Sawki pod przewodnictwem polskiego oficera Aleksandra Kostki-Napierskiego zdobywają zamek w Czorsztynie. Rozbijają również oddziały przystające na odsiecz

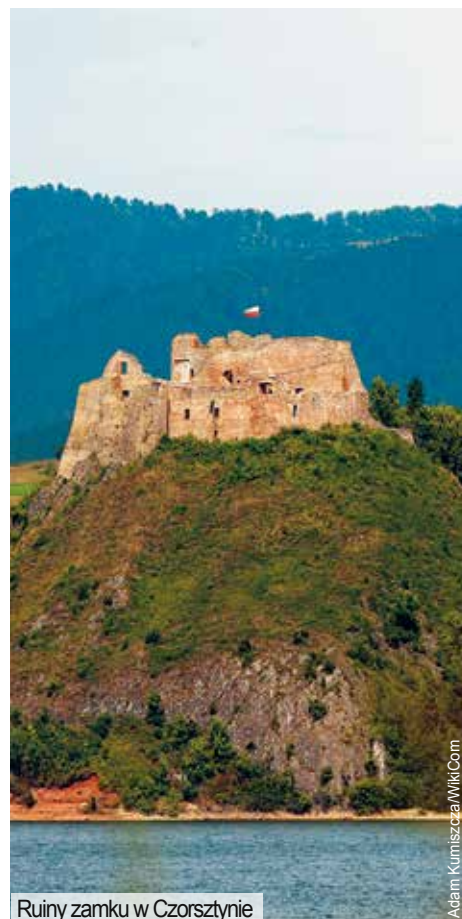
zamkowi przez krakowskiego biskupa Piotra Gembickiego i planują marsz na Kraków. Jednak opieszałość powstańców doprowadza ich do klęski. Kolejne wojska biskupa szybko odbijają zamek, a na domiar złego w szeregach powstańców następuje rozłam, czego skutkiem jest wydanie Kostki-Napierskiego. Jeszcze tego samego roku zostaje nabity na pal w Krakowie.

Po tych wydarzeniach Sawko przenosi się ze swoimi wiernymi druhami w rejon Preszowa. Tam przyłącza się do niego grupa beskidników dowodzona przez Hrycia Kryweho. Przez następne trzy lata działał po obu stronach Karpat. W tym czasie do działalności przestępczej wraca Bajus i razem ze Sawką czynią spustoszenie na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

Dopiero nowo powołany wojewoda ruski Stanisław Lanckoroński zapoczątkował kres zbójnickiej nawałnicy. Późną jesienią 1652 r. wymierza potężny cios w kompanie Bajusa i Sawki, które rozlokowane we wsi Roztoki (na południe od Cisnej), szły do „zimowiska”. Beskidnicy nie mogąc dotrzymać pola zawodowym żołnierzom zmuszeni byli uciec na Węgry. Końcowy akord zmagania z beskidzkim watażką został wymierzony wiosną 1654 r. Wtedy to polski oddział wysłany z Nowego Sącza z rozkazu starosty sądeckiego księcia Konstantego Jacka Lubomirskiego, rozbił w Kamienicy ostatecznie kompanię Sawki. Sam Andrij został ranny, wzięty do niewoli, a następnie torturowany i nadziany na pal 24 maja 1654 r. w Muszynie. Jest to tylko jedna z wersji śmierci legendarnego beskidnika. Inna wskazuje na to, że został powieszony dopiero w roku 1657 lub 1661 w Muszynie. A ci, którzy nie uwierzyli lub nie chcieli uwierzyć w śmierć Sawki twierdzą, iż uszedł na Ukrainę i przyłączył się do powstania Bohdana Chmielnickiego.



Portret księcia Konstantego Jacka Lubomirskiego, starosty sądeckiego, ok. 1638 r., zbiory Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie



Ruiny zamku w Czorsztynie

Adam Kumiszcza/WikiCom

Dlaczego stał się ulubieńcem ludu i przewyższał Wasyla Bajusa oraz innego znanego watażkę Fedora Hlavatego? Z historycznego punktu widzenia był ważną postacią w powstaniu chłopskim, nawoływał do buntu przeciw możnym i odczytywał „kozackie listy” (choć tak naprawdę trudno stwierdzić czy rzeczywiście pochodzili z Sycylii, czy też były wytworem zbójnickiej wyobraźni). *„(...)wszędzie w mediach nie wspomina się o postaciach, które doprowadziły do prawdziwego oporu wobec porządku feudalnego. Andrij Sawka był taką postacią dla zamieszkałego przez Rusinów obszaru słowacko-polsko-ukraińskiego pogranicza, który walczył przez wiele lat i stał się liderem małych powstań ludowych przeciwko właścicielom ziemskim i w końcu walczył z Bohdanem Chmielnickim o samostanowienie Kozaków.”*

Sawko postrzegany był jako obrońca biedoty oraz mściciel ludzkich krzywd i dlatego zyskał tak wielki szacunek. Wielu nie mogło pogodzić się z jego śmiercią, dlatego po dzień dzisiejszy stawiany jest u boku Chmielnickiego, z którym to walczył ramieniem, w ramieniu ze „szlachecką zarazą”. ■

Bibliografia:

Maslej J., *Andrij Sawka – ruski protifeudalny banita ze Stebec*

Kryciński S., *Łemkowszczyzna po obu stronach Karpat*, Rzeszów 2016

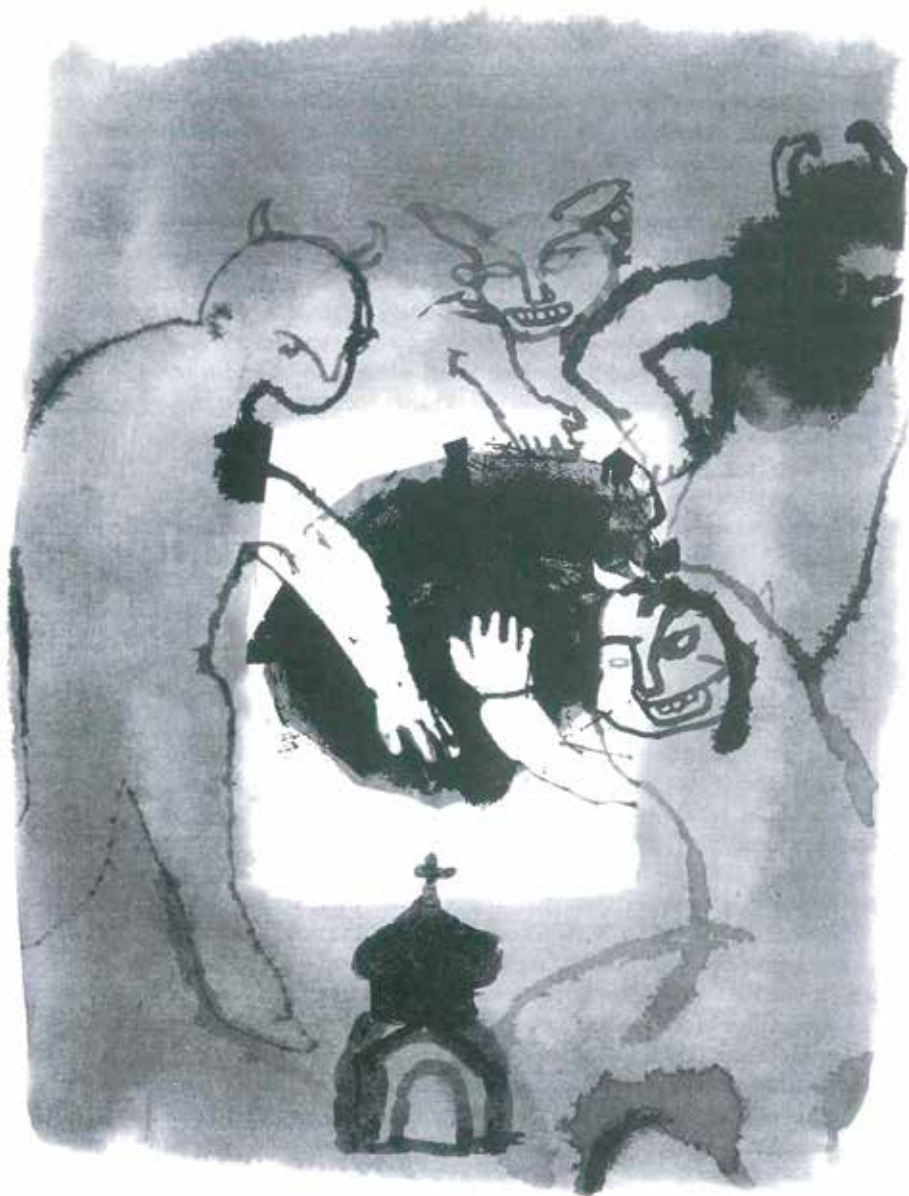
Jak ruski zamek diabli rozwalili

Nie żeby specjalnie, bo interesu w tym chyba żadnego nie mieli. Ot, wypadek przy pracy, jak byśmy to dzisiaj określili. Powiadają, że nie święci garnki lepia, to znaczy i diabłom może się coś czasami nie udać. Tym razem chodziło im tak naprawdę o kościół w Samoklęskach, którego zamierzali się raz na zawsze pozbyć.

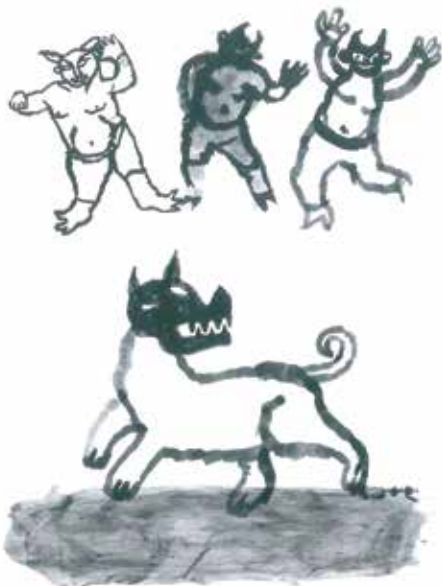
Jeżeli będziecie kiedyś na szczycie góry, gdzie stał ruski zamek, ujrzycie leżące wzdłuż prowadzącej na zamczysko drogi głazy ogromne. Już na pierwszy rzut oka zorientujecie się, że żadna ludzka moc nie mogła ich tu wydzwignąć. Przecież te kamienie muszą być piekielnie ciężkie. Wydzwignęła ich tu, i owszem, ale diabelska siła.

Kiedy zapanowało w Beskidzie chrześcijaństwo i ludzie od pogaństwa zaczęli odstępować, i gontyny na kościoły zamieniać, biesy stawały się coraz smutniejsze i coraz bardziej nerwowe. Nie były w stanie temu przeciwdziałać, bo różne zakony wielu misjonarzy pomiędzy górskie wioski posłały. Mogły diabły co najwyżej od czasu do czasu jakiś despekt ludziom zrobić. W kilku wsiach próbowały na kościoły głazy wielgachne z gór przywleczone zrzucić. Ale skutek okazał się mierny, bo szczęście, na szczęście, im nie dopisywało i zanim zamiar swój zrealizowali, zawsze wcześniej zdążył kogut zapiąć, przez co czarci tracili swoją moc i głazy spadały byle gdzie. Oczywiście w tym przedwczesnym pianiu kogutów był palec Boży, a najpewniej to któryś z archaniołów na jego polecenie koguty zawczasu budził.

Niósł ci cały diabelski hufiec, każdy po jednym głazie, żeby na nowo zbudowany kościół w Samoklęskach zrzucić. Tym razem wydawało się, że zamiar na pewno



Agnieszka Dziama



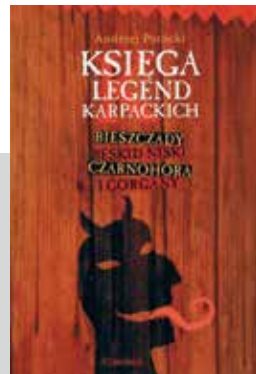
się powiedzie i któremuś diabłu uda się nad cel dolecieć. Kiedy szybowali nad ruskim zamkiem, zapiął kogut, co dziwnym zarządzeniem losu, zamiast trafić do garnka na rosół, wyfrunął był z kuchni na dach baszty i tam zanocował.

Diabły, jak to posłyszały, zakłęły siarczyście, aż iskry poleciały, ale nic im już nie pomogło, bo w jednej chwili moc swoją czartowską potracili i każdy niesiony kamień opuścił. Dziewięć spadło wzdłuż drogi, a dwa na zamek. Jeden trafił w bramę wjazdową, a drugi w basztę z kogutem. Ten jednak w ostatniej chwili sfrunął w dół i wylądował na dziedzińcu, znów począł pisać, jakby diabłom się przedrzeźniając i szydząc z ich bezsilności.

I tak to boskim zarządzeniem losu ocalał kościół w Samoklęskach, ale Ruski Zamek za diabłów przyczyną obrócił się w perzynę. Kogut natomiast za swoje niewątpliwe

zasługi dożył sędziwej starości i nikt już nigdy nie próbował ugotować z niego rosółu. ■

Wybrane legendy pochodzą z książki Andrzeja Potockiego „Księga legend karpaczkich. Bieszczady, Beskid Niski, Czarnohora i Gorgany”. Autor zebrał w niej 179 legend karpaczkich wydobytych z zakamarków ludzkiej pamięci, wyblakłych ze starości, wydawałoby się nikomu już niepotrzebnych.



Duszę zapisać albo dusiołka kupić

Jedni powiadali i szli w zaparte, że czartowski monastyr stoi w Krasnym Brodzie, po tamtej stronie Bieszczadu, to jest w trzeciej wsi, licząc od tej przełęcz, co jest ponad Radoszycami. Wszelako inni upierali się, jakoby ów monastyr był po naszej stronie Bieszczadu, gdzieś na stokach Krasnej, góry co to wznosi się nad Oslawą. Nie wszyscy wszakże mogli go dostrzec, bo przecież niezwykłą jest budowlą i tylko dla opętanych żądzą chciwości lubo też innych niecnot stawał się widzialnym. Na pierwszy rzut oka nie uświadczysz tam żadnego diabła, chociaż, jako rzekłem, to czartowski monastyr.

Kiedy jednak już tam ktoś dotarł z zamiarem wymienienia swojej duszy na skarby, powabną dziewczkę lubo też co innego, przywitała go ze staropolską gościnnością jedna z bieszczadzkich wiedźm - Matragona. Nie pierwszej już co prawda ona młodości, ale za to doświadczenia w zwodzeniu ma aż nadto, dlatego czarty jej powierzyły mamienie naiwnych. Po dokładnym obejrzeniu i wypytaniu delikwenta, Matragona przywołuje biesa Magurycznego, by ten osobiście dokonał spisania

cyrografu. Bies orlim szponem nakłuwa serdeczny palec kontrahenta i wytoczoną z rany krwią na małej skórze spisuje diabelski pakt. Ceremonium zawarcia umowy kończy trzykrotne splunięcie na krzyż, co obaj czynią pospołu, bies i potępieniec, który uciechy doczesności ponad wieczne zbawienie duszy przedkłada.

Potem Maguryczny kitą własnego ogona maluje na ścianie monastyru obraz, czyli portret onego potępienia. Bo gdyby tenże z zawartego paktu chciał się wyłgać, to wówczas bies piką w samo serce w portret uderza, co powoduje natychmiastową śmierć onego. I wówczas jego dusza jest uratowana... dla piekła. Wszelako trzeba wam wiedzieć, że kto raz czartu duszę odda w pacht, ten już jej nigdy nie odzyska, choćby i nie wiem, jakie zabiegi wokół tego czynił.

Nie wszyscy jednak są skorzy duszę stawiać za uludę ziemskiego szczęścia. W czartowskim monastyrze i na to znalazł diabelski sposób. Za trzydzieści reńskich można sobie kupić dusiołka. Wiszą one pod powalą na skórzanych rzemykach. Nic tylko brać, wybierać, bo różne są dusiołka.

Jasienie od szczęścia do dziewczek, Beskidniki od skarbów i pieniędzy, Smolniczki od bydła, Mokliki od koni, Połoninki od mocnej głowy do trunków, Berdniki od piwa dostatku, Caryńczyki od szczęśliwego zaciągu do lisowczyków, Kińczyki od choroby świętego Walentego i wierszy pisania, a Zubeńki od muzyki. Kupisz sobie takiego dusiołka i już umiesz grać na gęślikach albo na basetli, lubo też dziewczki do ciebie Ignąc poczynają, choćbyś nawet był szkaradnego oblicza.

Powinniście wszakże pamiętać, że dusiołek tylko do pewnego czasu pomaga, a potem zaczyna przynosić pecha. Należy zatem pozbyć się go w odpowiednim momencie. Robi się to tak. Trzeba kupić ładną chustkę na jarmarku, do tego czerwoną jak mak wstążkę i bułkę. W bułce powinno się zrobić otwór i wetknąć weń dusiołka. Bułkę z dusiołkiem zawija się w chustkę i obwiązuje wstążką, a potem zostawia to zawiniątko na jak najbardziej uczęszczanym gościńcu. Ktoś znajduje takie zawiniątko, rozwija je, a tu dusiołek hop na niego i jemu przez pewien czas będzie godziwie służyć.

Kiedyś i ja miałem takiego dusiołka, Jasień mu było. Przywiózł mi go z czartowskiego monastyru Jędrzek Połonina. Niebaczny przestrogi, przetrzymałem go za długo i zdarzyło się nieszczyście. Pewnego dnia moja księżniczka zmieniła się w babę Jagę. Teraz mam nowego dusiołka, ale nie powiem jakiego. Może z nim lepiej mi się powiedzie niż z Jasieniem. ■

Złoty łańcuch

Powiem wprost: Nie szukajcie złotego łańcucha, zatopionego onegdaj w studni odrzykońskiego zamku. On jest wykonany ze szczerzego, ale diabelskiego złota. A to kusi i mami jeszcze bardziej niż normalnie, i rozum po wielokrośet razy więcej odbiera.

Był czas, kiedy diabli w pychę urosili i swawolili tak, że ludziom odechciało się tu mieszkać. Raz po raz jakiś despekt im czynili. A to deszcze w czas żniw sprowadzali, a to suszę w czas siewów albo wichurę, co zrywała dachy z chałup, albo nawet morowe powietrze naganiali. Zanosili ludzie prośby do Boga, żeby ich los choć odrobi-

nę odmienił. Wysłał przeto Pan Bóg Archaniola Gabriela, żeby poprzeganiał ten czarci pomiot. Archaniol, i owszem, sprawił się jak należy, a tego najbardziej psotnego czarta przykuł żelaznym łańcuchem o ogniach grubych jak palec do skały w miejscu, gdzie postawiono potem odrzykoński zamek.

Oj, ostatnia godzina już przyszła na czarta, bo z głodu i pragnienia miał lada chwila szczerząc, nikt go bowiem nie chciał uwolnić z tej okrutnej niewoli. Bo po prawdzie, każdy bał się do niego podejść, przecież to diabeł, a po za tym sam jego widok wstrętem napawał pobożnych kmieci. Wszelako trafił się jeden podróżny, ubogi szlachcic, co całemu zdarzeniu przytomnym nie był i dał się czartu omamić. Ten przybrał postać powabnej dziewczki, a sam łańcuch uczynił niby szczerozłotym. Złakomiał się podróżny, kiedy rzekomo owa powabna dziewczka obiecała mu za uwolnienie nie tylko swoją cnotę, ale także ten złoty łańcuch o grubych ogniach, długi na 20 łokci.

- Za tyle złota można by wiele wsi kupić, a i niejedno miasto - pomyślał łakomy szlachcic. - A i dziewczę niczego sobie, przeto nie tylko złoto zdobędę, ale i rozkoszy trochę pozaznywam.

Pojechał do kowala i pożyczył od niego trochę narzędzi, że niby koło u wozu

mu się popsulo i sam je sobie naprawi. Zapłacił kowalowi złotego dukata, więc dał mu to, o co nieznamy podróżny prosił. Wrócił szlachetka do uwięzionej dziewczki, ze złotego łańcucha ją rozkuł i do całowania się zabiera, kiedy nagle ta powabna twarzyczka w szpetny kosmaty pysk się zamienia. Spostrzegł, że panna raczej do czarta podobna niż do jakiegokolwiek dziewczki. Nic to, ale przecież złoty łańcuch mu został. Bierze go w ręce, a on nagle jakiś taki gorący się robi. Dojrzał studnię i pomyślał, że jak wrzuci go do wody, to się łańcuch ostudzi. I tak też uczynił, a wtedy woda jakby się zagotowała i we wrzącą smołę przemieniła.

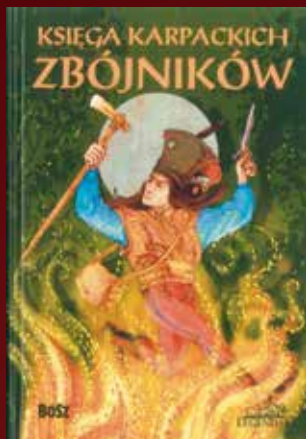
Zrozumiał szlachetka, że to pewnie czart wystrychnął go na dudka. Jedna stara bisurkania, co natenczas w pobliżu ziola zbierała, widziała, jak ony pan złoty łańcuch do studni wrzucił, po czym wsiada na koń i odjeżdża. Nieświadoma całego zdarzenia poszła do wsi i opowiedziała o tym złotym łańcuchu w studni, i ludzie jej uwierzyli. ■

Andrzej Potocki – pisarz, dziennikarz, autor reportaży telewizyjnych. Z wykształcenia historyk i animator kultury. Od roku 1989 uprawia zawód dziennikarza reportażysty. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej oraz realizuje materiały filmowe dla telewizji publicznej. W TVP ukazało się ponad czterysta jego filmów i reportaży. Autor ponad dwudziestu książek o tematyce regionalnej, prezentującej m.in. dorobek kulturowy i historyczny polskich Bieszczadów oraz obszaru pogranicza.



Agnieszka Dziama

Książka jest propozycją dla wszystkich zainteresowanych fenomenem dawnego zbójnictwa oraz karpackim folklorem. Na jej kartach ożywają postaci 37 najgłośniejszych harnasiów, działających od XVI do XIX w. od Śląska Cieszyńskiego po Huculszczyznę, zapuszczających się nawet w głąb Śląska, na Morawy, pod Kraków i Przemysł oraz na Podole i Bukowinę. Autor kreśli biogramy słynnych zbójnickich hetmanów, omawia ich rolę w folklorze ustnym, a następnie przytacza opracowane przez siebie legendy i podania. Ukazuje głośnych hersztów karpackich zarówno w świetle dokumentów sądowych, jak i ludowych wyobrażeń, samych zaś zbójników osadzając w kulturowym kontekście.



Bartłomiej Grzegorz Sala, *Księga karpackich zbójników*, Wydawnictwo BOSZ, Olszanica 2015

Jedna z pierwszych publikacji w literaturze popularnej zajmująca się życiorysem i rolą beskidnika Aleksiego Doboszcuka, zwanego Doboszem. Jest to opis mocno sfabularyzowany, ale jednocześnie tłumaczący dlaczego ten zbój Karpat Wschodnich stał się dla ludu symbolem ludowego rycerza, co to panom zabiera, a biednym daje. Jak wspomagał najbiedniejszych, jak rozdawał jałmużnę, jak niszczył rejestry dłużnicze miejscowych lichwiarzy. Poszczególne rozdziały to opisy wypraw zbójnickich Dobosza na dwory i zamki na Kresach I Rzeczypospolitej, jak i po węgierskiej stronie Karpat, jego zdobyczy, ale także tragicznego końca tego pokuckiego opryszka, Aleksiego Dobosza.



Aleksander Sałapata, *Na zbójnickich ścieżkach. Dobosz watażka bohater*, Lesko 2009

Skutki II wojny światowej przyniosły niemal całkowitą depolonizację, a w ślad za tym zanik struktur administracyjnych Kościoła rzymskokatolickiego na ziemiach pół.-wsch. II Rzeczypospolitej. Złożyły się na to zarówno represyjna polityka Niemiec hitlerowskich oraz Związku Sowieckiego, jak również eksterminacja ze strony ukraińskich nacjonalistów. Ostateczną pieczęć przyłożyły postanowienia konferencji w Teheranie i Jałcie, określające granice wschodnie powojennego państwa polskiego na linii Curzona. Spośród 74 parafii diecezji przemyskiej znajdujących się po 1945 r. na obszarze Ukrainy Zachodniej do 1991 r. przetrwały cztery. A liczba przeszło 400 parafii archidiecezji lwowskiej funkcjonujących do 1939 r., spadła do siedmiu.



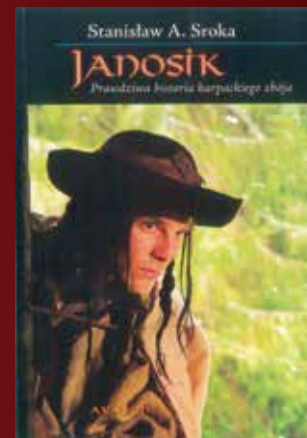
ks. prof. Józef Wołczański, *Między zagładą a przetrwaniem*, Kraków, 2005

Niezwykle interesująca popularyzatorska praca - bogato ilustrowana co rzadkość w tego typu opracowaniach - poświęcona zagadnieniu karpackiego zbójnictwa. Zawiera w sobie historyczne biogramy słynnych harnasiów polskich, ukraińskich, słowackich i węgierskich, refleksje dotyczące ich miejsca w kulturze Karpat, ze szczególnym uwzględnieniem regionu Bieszczadów. Dzięki temu książka łączy rolę dość wyczerpującego kompendium i interesującej opowieści o wyczynach zbójników, którzy dzięki sile i zręczności, a często i szczęściu toczyli boje z całymi armiami prześladowców, aby – jak chcą tego opowieści karpackich górali – bronić wolności i sprawiedliwości. Zadaniem tej publikacji jest przywrócenie Bieszczadom ich zbójników, którzy grasowali zarówno po północnej, jak i południowej stronie tej części Karpat. A jednocześnie umiejscowienie ich na należyłym miejscu w panteonie karpackich opryszków.



Robert Bańkosz, *Strasliwi zbójnicy z Bieszczadów i okolicy*, TURKULA Karolina Kiwior, Krosno 2010

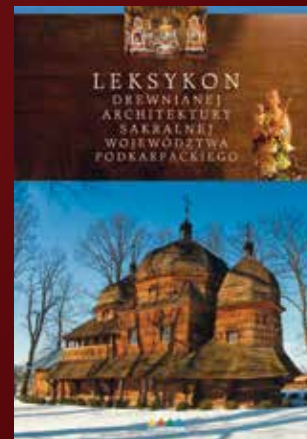
Książka jest popularną biografacją Janosika, postaci jak najbardziej historycznej, zbójnika żyjącego na przełomie XVII i XVIII wieku. Mimo zachowania skromnych materiałów źródłowych, można na ich podstawie nakreślić w miarę dokładny jego życiorys. Ciekawym materiałem jest zacytowany w całości protokół przesłuchania Janosika przed sądem, co miało miejsce 16 marca 1713 r. w mieście Święty Mikulász w czasie posiedzenia śledczego sądu gardłowego.



Jej zawartość uzupełnia bogato ilustrowany przewodnik pod miejscach związanych z życiem Janosika na terenie Słowacji, jak i krótki rozdział o obecności tego karpackiego zbója we współczesnej literaturze i kinematografii.

Stanisław A. Sroka, *Janosik. Prawdziwa historia karpackiego zbója*, Wydawnictwo AVALON, Kraków 2009

Publikacja zawiera opis 256 zespołów i pojedynczych obiektów zabudowy sakralnej, zachowanych na terenie Podkarpackiego. To 149 dawnych i obecnych cerkwi, 96 kościołów i kaplic, 57 wolno stojących dzwonnicy oraz jeden dawny zbór protestancki. Ich opisy zilustrowano w sumie 1200 aktualnych, ale i archiwalnych, zdjęć. Każdy opis posiada streszczenie w języku angielskim oraz ukraińskim. Udało się także zebrać informacje o 467 miejscowościach z regionu, w których istniały drewniane cerkwie, kościoły, zbory, synagogi i dzwonnice, a które uległy zniszczeniu od połowy XIX wieku do 2007 r. Odnaleziono i pozyskano 535 archiwalnych zdjęć, które pokazują ich bryłę, a czasami i wnętrze wraz z wyposażeniem.



Krzysztof Zieliński (red.), *Leksykon drewnianej architektury sakralnej województwa podkarpackiego*, Stowarzyszenie „Pro Carpathia”, 2015